Nr. 19. Poznań, niedziela 10-go maja 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Kwestya solidarności poselskiej.

W niektórych pismach poznańskich pojawiło się znowu żądanie, by po upływie kadencyi posłowie nasi do sejmu i parlamentu złożyli sprawozdania wyborcom. Jeżeli zważymy, jak szczelnie odgranicza się Koło polskie od społeczeństwa, jeżeli uprzytomnimy sobie, jak przykrym staje się brak dokładniejszych informacyi o stanowisku reprezentacyi naszej w najżywotniejszych kwestyach, jeżeli uwzględnimy, ile sprzecznych wiadomości o głosowaniach Koła krąży po dziennikach (ustawa przewrotowa!) i jak rzadko w zaborze pruskim poseł staje przed rzeszą wyborców z referatem politycznym, — to w całej nagości ujawni nam się niedorzeczność tu i owdzie pojawiających się twierdzeń, że głosy żądające sprawozdań, mają swe wyłączne źródło w postronnych celach i wichrzeniach garści malkontentów. Zdania podobne ukazują się stale w dziennikach służących tej oligarchii zaboru pruskiego, która czuje dokładnie, że wraz z całym aparatem zapleśniałych praktyk politycznych i zbankrutowanej dyplomacyi ugodowej traci grunt w społeczeństwie, i dla tego lęka się stanąć przed trybunałem opinii publicznej. Zasada sypania piaskiem w oczy, unikania wszelkich wyjaśnień, trzymania się stale w należytym odstępie od buntującego się i dyszącego pragnieniem reformy społeczeństwa nie jest bynajmniej, jak ten i ów sądzi, rezultatem odrazy do trudów publicznych, wypływem lenistwa właściwego sternikom polityki naszej, lecz tendencyjną sztuczką dyplomatyczną dla podtrzymania tronów zachwianych. Przekonanie to zyskuje z dnia na dzień coraz więcej zwolenników i wyznawców, i dla tego głosy domagające się, by posłowie stanęli przed wyborcami do publicznego obrachunku, odzywają się coraz częściej i coraz energiczniej.

Co do nas, to stanowisko nasze w tej sprawie wyjaśniliśmy już kilkakrotnie i nikt chyba wątpić nie może, że żądanie sprawozdań poselskich znajduje w nas zdecydowanych stronników, — wątpimy jednak czy wobec dotychczasowych zasad, panujących w Kole polskiem, spowiedź publiczna deputowanych naszych odniesie ten skutek, którego oczekuje znaczna część wyborców. Dopóki zasada solidarności i tajności w naszej frakcyi sejmowej i parlamentarnej będzie panującym dogmatem, dopóty każde sprawozdanie poselskie musi z natury rzeczy być stekiem ogólników, rekapitulacyą obrad w izbach prawodawczych, znanych każdemu mniejwięcej dokładnie z referatów dziennikarskich, lub obroną opinii, tryumfującej w obrębie koła, a przeciwnej częstokroć wewnętrznemu przekonaniu referującego posła. Według reguły dotychczasowej poseł występujący, czy to w parlamencie, czy na sejmiku relacyjnym, jest wyłącznie reprezentantem zwycięzkiej większości Koła. Jej bronić musi szczerze czy nieszczerze, — na zewnątrz nie jest on nigdy samodzielną indywidualnością, należącą do Koła. lecz tylko sługą większości. I więcej jeszcze. Na mocy obowięzującej tajności obrad nie wolno referującym posłom zdradzić stanowiska politycznego kolegów swoich, nie wolno mu w najlżejszych zarysach scharakteryzować głosowania w obrębie Koła, nie wolno mu odsłonić własnej przyłbicy politycznej i przyłbicy innych reprezentantów narodu. Przed społeczeństwem staje zawsze solidarna cząstka Koła, — nigdy poseł-jednostka. I dla tego są deputowani polscy dla własnych wyborców hiroglifami, które zaledwie garść wtajemniczonych braminów politycznych odcyfrować umie.

Tu tkwi przyczyna, dla której sprawozdania poselskie składane na podstawie dotychczasowych zasad, pozbawione są głębszego znaczenia politycznego. Na trybunie relacyjnej staje postać zamaskowana i wyborcy nie mogą nigdy pociągnąć do odpowiedzialności reprezentanta swojego, bo nie wiedzą jakim kierunkom hołduje, jakiej zasady bronił w debatach frakcyjnych, i czy potępiając go, nie potępiają zgwałconego przedstawiciela mniejszości, który jedynie z musu broni stanowiska Koła przed społeczeństwem.

Naród wybiera posłów, nie Koło, lecz ten sam naród zna tylko Koło. nie posłów, — oto konsekwencya obecnych urządzeń. Anomalji tej nie usuwa bynajmniej fakt, że, dzięki prywatnym wynurzeniom i tak zwanym „niedyskrecyom“ posłów, raz po raz tajniki Koła odsłonią swój rąbek i kilka set lub kilka tysięcy osób dowie się o dążeniach politycznych tego lub owego z deputowanych, — są to po większej części wersye nieścisłe, o których większość społeczeństwa wcale się nie dowiaduje, są to plotki, pozbawione urzędowego charakteru, których prawdziwość kontrolować trudno, i na których żadnych oskarżeń opierać nie można. A gdyby nawet pokuszono się na mocy prywatnych informacyi o interpelacyę posła na sejmiku relacyjnym, to reprezentant Koła odmówi wszelkich wyjaśnień, bo regulamin usta mu zamyka. W takich stosunkach krążą po kraju całe roje baśni i legend, — ludzie macają po ciemku, szukają nie Koła, lecz posła swojego, i znaleźć go nie mogą. Oprócz kilku nazwisk, które nigdy nie taiły swej radykalnej barwy ugodowej, społeczeństwo nie zna tych przedstawicieli parlamentarnych, na których głosy oddaje. Kim jest poseł Jażdżewski? Mówią, że to pogromca Kościelskiego, a obecnie *„plus Kościelski que Kościelski même“*. Kim jest poseł Dziorobek? Opozycya demokratyczna witała w nim filar swojego programu, — a dziś? Kim jest Wolszlegier, Brodnicki, Rzepnikowski, Wawrzyniak, Ślaski, Donimirski, Jerzykiewicz i mnóstwo innych posłów obu Kół polskich, których polityka nie jest wprawdzie na wskroś identyczną, lecz opartą na porozumieniu? Nie wiemy tego i nie wiedzieć nie będziemy tak długo, dopóki panująca reguła nie zostanie złamaną.

I dla tego nie spodziewamy się bynajmniej po obecnych sprawozdaniach poselskich, ażeby rzuciły światło w te mroki, które coraz więcej niepokoją społeczeństwo, lecz mimo to żądamy ich stanowczo, bo upatrujemy w nich okazyę do skutecznego manifestowania naszych planów i projektów reformacyjnych. Niechaj się odbędą sejmiki relacyjne, lecz niechaj na każdym z nich wyborcy postawią kategoryczne żądanie, aby zasada solidarności zobowięzywała posłów naszych jedynie w ciałach prawodawczych, wobec sejmu, parlamentu i rządu, lecz nie krępowała ich w stosunku do wyborców, w stosunku do społeczeństwa polskiego. — Raz wreszcie trzeba skończyć z tem głosowaniem na ślepo, które jest bezprzykładną anomalją w dziejach parlamentarnych i stanowi tamę przeciw wszelkim dążeniom zmierzającym do uzdrowienia polityki naszej. Nie żądamy bynajmniej bez wszelkich zastrzeżeń jawności obrad w obu Kołach polskich, bo wiemy dobrze, że względy dyplomatyczne dyktują niejednokrotnie konieczność sekretu, lecz pragniemy znać stanowisko polityczne przedstawicieli naszych w sejmie i parlamencie, pragniemy na sejmikach relacyjnych obok opinii Koła poznać opinię posła — referenta, pragniemy rozbicia tego

muru chińskiego, dzielącego posłów od społeczeństwa i zamieniającego frakcyę polską w rodzaj tajemniczego bractwa lub kasty. A jeżeli rezolucye uchwalone w tej myśli na sejmikach relacyjnych i zgromadzeniach politycznych nie odniosą w Kole żadnego skutku, wtedy nic pozostanie nam nic innego, jak przy nowych wyborach zobowiązać każdego kandydata, że jako członek Koła polskiego starać się będzie usilnie o zniesienie zasady bezwzględnej solidarności i tajności. Od przyjęcia takiego „m a n d a t i m p é r a t i f“ zależeć powinno przyjęcie kandydatury.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

S z l a c h t a g a l i c y j s k a. „Przegląd Wszechpolski“ (Lwów) zamieszcza znowu nader interesujący artykuł wstępny, poświęcony tym razem szlachcie galicyjskiej. Dłuższa charakterystyka składników rewolucyi tej warstwy kończy się w słowach następujących:

„Szlachta, w znaczeniu właścicieli ziemskich ma ograniczony wprawdzie, lecz niewątpliwie uprawniony w stosunkach dzisiejszych zakres swoich interesów klasowych, a więc należy się jej słusznie odpowiedni udział w kierowaniu sprawami publicznemi i w przedstawicielstwie kraju. Ale jej dążenia i uroszczenia wybiegają daleko po za te granice, ogarniają całość interesów społecznych i narodowych i usiłują stłumić je lub skierować do swych celów wyłącznych. Polityka arystokratyczno-szlachecka w różnych odcieniach, o której zasadach w dobrej wierze nieraz rozprawiamy, jest zazwyczaj poziomem samolubstwem klasowem lub nawet koteryjnem, które dla przyzwoitości stroi się w doktrynę, wymyśloną dla osłonięcia jego nagości. Klasa, którą rozwój dziejowy na czoło społeczeństwa wysuwa, nie ukrywa samolubstwa swego i jeżeli jest ono objawem naturalnym zdrowia, siły i wiary w siebie, przemocą lub urokiem potęgi podbija i prowadzi ogół narodu i nieraz w wyłączności swojej stwarza rzeczy wielkie. Ta wszakże klasa, o której mówimy, i u nas, i wszędzie dawno już przeżyła okres energii młodzieńczej i dziś nachyla się do upadku, rozkłada się i słabnie. Jej dążenia, ideały i interesy stać muszą w sprzeczności z dążeniami, ideałami i interesami ogółu, a zwłaszcza tej części jego, która dopiero żyć świadomie i czynnie zaczyna. Dobrowolne ustąpienia ze stanowiska, wyrzeczenie się zdobytych praw i przywilejów społecznych byłoby samobójstwem politycznem, a więc objawem poniekąd anormalnym. Ale zrozumienie swego położenia i zmian nie uniknionych w stosunku wzajemnym sił społecznych byłoby natomiast dowodem roztropnej przezorności, która wiekowi podeszłemu przystoi. Szlachta galicyjska, pozornie odświeżona dopływem różnorodnych żywiołów, nie chce zrozumieć, że pomimo to ustrój jej polityczny i społeczny pozostał starym, chociaż sama ciągle wiek jego przypomina, nie chce przekształcić się odpowiednio do zakresu swej właściwej działalności i usiłuje utrzymać stosunki, które się przeżyły, a nawet odtworzyć dawno pogrzebane, nadając im tylko współczesne piętno biurokratyczne lub kapitalistyczne.

Nazywa się ta robota dalszym ciągiem tradycyi narodowej i szlacheckiej, chociaż prowadzi ją klasa społeczna, której polskość i szlacheckość bardzo jest rozcieńczoną. Lekkomyślnie „stąpają po prochu, który niegdyś żył“, i pełną garścią zasypują nim oczy swoim i obcym, żeby nie przypatrywali się z blizka tajemnicom polityki galicyjskiej.“

* * *

C i e k a w a l i n g w i s t y k a. W „Gazecie Opolskiej“ (Nr. 34) czytamy.

Zeszłej środy toczył się, jak już pisaliśmy, w tutejszym sądzie ławniczym proces przeciw redakcyi „Gazety Opolskiej“ za zamieszczenie korespondencyi, dotyczącej zniemczenia się chłopów w Staremmieście w powiecie Prudnickim. Podczas rozpatrywania tej sprawy podał sędzia „Gazetę Opolską„ tłomaczowi i kazał mu odnośną korespondencyą przetłomaczyć na niemieckie. Tłomacz przypatrzywszy się korespondencyi oświadczył zakłopotany, że niektóre zdania wprawdzie rozumie, lecz nie umie całości przetłomaczyć, ponieważ artykuł jest napisany „in hochpolnischer Sprache“ (wysoką polszczyzną, to jest czystym polskim językiem); prócz tego nadmienił, że żaden tłomacz przy tutejszym sądzie nie umiałby tego dla tej samej przyczyny przetłomaczyć. Zaczęto się więc przy stole sądowym zastanawiać nad tem, dla czego „Gaz. Op.“ „wysoką polszczyzną“ pisze, gdy lud przecież mówi po „wasserpolsku“. Ktoś trzeci rozwiązał później ten węzeł gordyjski (czyli wyjaśnił tę zagadkę), dowodząc, iż lud ma się nauczyć tej „wysokiej polszczyzny“ i dla tego „Gazeta“ tak pisze....

Zajście powyżej opisane jest ponownym dowodem, jak słabe wyobrażenie o polskim języku i polskiem piśmiennictwie w ogóle, a w szczególności na G. Szlązku istnieje w wybitniejszych kołach niemieckich, które nawet o tem nie wiedzą, że nie wychodzi i nie wychodziła nigdy jeszcze na G. Szlązku gazeta polska przez Polaków wydawana, któraby była redagowaną czyli pisaną w jakimś tam „wasserpolskim“ języku. Piśmiennictwa „wasserpolskiego“ lud górnośląski wcale nie zna; bo go też nigdzie nie ma, a czytać i rozumieć czystą polszczyznę uczył się od wieków i uczy się ciągle, choćby nie zkądinąd, to z książek do nabożeństwa dobrze po polsku pisanych.

Jeśli wogóle o „wasserpolszczyźnie“ można mówić, to chyba wtedy, gdy się zajrzy do starych „Kreisblatów“, w których to Niemcy dla ludu polskiego niby to zrozumiale chcieli pisać, ale nie znając polskiego języka i posługując się dla tego jedynie prawie słownikiem, takie brednie zwykle pisali, że tego pisania nietylko żaden Górnoślązak, lecz sami pisarze zapewne nie rozumieli. Taką pokaleczoną polszczyznę jeszcze dziś nieraz w „Kreisblattach“ naszych spotykamy, ale nie ma ona oczywiście nic wspólnego ze zrozumiałą zupełnie mową ludu górnoślązkiego.

Zajście powyżej opisane jest niemniej także dowodem, jak niedostatecznie wykształconych w polskim języku tłomaczy mamy, jeśli takowi nawet zupełnie popularnie napisanej korespondencyi nie rozumieją i uniewinniają się tem, że jest „hochpolnisch“ pisana.... Wobec tego ciekawego wyznania nadmieniamy jedynie, że autorem owej niby niezwykłą polszczyzną napisanej a przez nas wcale nie zmienionej korespondencyi był chłopek polski wyrosły i wychowany na ziemi górnoślązkiej, który innych dzielnic polskich wcale jeszcze może nawet nie miał sposobności widzieć i poznać. Mądrej głowie dość na słowie!

* * *

FR. RAWITA.

Dziki człowiek.

(C i ą g d a l s z y).

Zdawało się, że gdyby w tym czasie piorun uderzył, nic byłby wstanie wywołać potężniejszego wrażenia. „Batiuszka“ stanął nieruchomie z łyżką w ręku i, utkwiwszy oczy w przestrzeń, zdawał się być przerażony niezwykłem zdarzeniem, którego się lękał, a wytłomaczyć sobie nie umiał. Lękliwe jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Kati, która zbladła, załamała ręce i głosem przestraszonym wyrzuciła ze siebie dwa wyrazy tylko:

— Ach Boże!

Iwan Matwijowicz siedział ponuro nasępiony, ze wzrokiem utkwionym w białą płaszczyznę talerza.

Po chwilce odezwał się, jakby sam do siebie:

— Na głowę spadło...

„Batiuszka“ starał się wrócić do równowagi i zatrzeć przykre wrażenie, wywołane wróżbą.

— Boża wola we wszystkiem — rzekł — a reszta, przesądy ludzkie.

Iwan Motwijowicz powtórzył machinalnie, nie podnoszac oka od talerza:

— Boża wola.

— No, Katinka — odezwał się „batiuszka“ — rozdawaj kutię...

Nadał umyślnie wesołe brzmienie głosowi, aby kobiety uspokoić, ale nie było to rzeczą zbyt łatwą. Najprzód „matuszka“ zerwała się od stołu, ryknęła płaczem i z pokoju wybiegła; za nią ruszyła Katinka, tylko „batiuszka“ z Iwanem Matwijowiczem zostali. Zmięszani byli obydwa.

— Ot, masz tobie, baby... — odezwał się „batiuszka“, aby zatrzeć nieco tę scenę — i zamilkł. Więcej nie mógł z siebie słów wydobyć. Spojrzał na Iwana Matwijowicza, ten siedział jak przykuty do krzesła, w talerz patrzał i milczał.

— Taka to zawsze z babami robota — ciągnął „biatiuszka“ — no, czego tu ryczeć? Kutia nie przylepiła się... wielkie nieszczęście! Albož to się nie zdarza, że czasem ręka drgnie, jakby w nią kto trącił...

Iwan Matwijowicz, nie podnosząc oczu, powtórzył półgłosem:

— Trącił ktoś...

Głuche i ponure brzmienie tego wyrazu niemile dotknęło popa. Spojrzał z góry na zięcia badawczem spojrzeniem. Złość go najprzód ogarnęła, potem pohamował się i siadając rzekł:

— No, spożywajmy dary Boże, Iwanie Matwijowiczu, baby wygadają się i przyjdą.

Usiadł i półmisek z kutią przysunął ku sobie.

Wtem nagle Iwan Matwijowicz porwał się z krzesła, błędne spojrzenie w przestrzeń pokoju rzucił i zawołał:

— Niech spada!

Wyrzekłszy to tak, jakby oprócz niego nikogo więcej nie było, jakby myślał o czem i koniec myśli tylko wypowiedział, obrócił się w milczeniu i do swego pokoju poszedł.

„Batiuszka“ został sam. W pierwszej chwili wstał gwałtownie od stołu i taki ruch zrobił, jak gdyby pragnął biedz za Iwanem Matwijowiczem, porwać go za ramię i zawrócić, potem pohamował się i utkwiwszy wzrok we drzwi, któremi zięć wyszedł, rzekł gniewnie:

— Dziki człowiek! dziki! W klatce go można obwozić i pokazywać za pieniądze, jej Bohu!

Wybuch gniewu zrównoważył go nieco; usiadł tedy znowu na krześle, podparł się obiema rękoma, zamyślił się, posiedział tak chwilkę niemo zupełnie, potem oczy podniósł, powiódł niemi po pustym pokoju, na stole zatrzymał, na nietkniętym półmisku kuti i powoli z pokoju wyszedł.

Tak smutnie zakończyła się wieczerza wigilijna w Nenadyskim dworze. Domownicy zeszli się potem przy herbacie, ale nastrój spokojny i wesoły nie wrócił, a przesądna służba wypadek z kutią przez całą noc komentowała.

Iwan Matwijowicz ten wypadek tak przy-

Katolicka germanizacya. W „Nowinach raciborskich“ czytamy:

„Oberschles. Volksstimme“, pismo katolickie, pisze w sprawie rezolucyi, jaką niemiecki „byrgerferein“ w Hajdukach powziął w sprawie tamtejszej szkoły katolickiej, tak: „Jako przedstawiciele niemieckiej gazety nie potrzebujemy pewnie dopiero zapewniać, że dzieło germanizacyi popieramy pod każdym względem, skoro prowadzi się je w sposób, który nie wykracza przeciw prawu przyrodzonemu i prawom ludzkości.“

Otóż wychodzą tu jaskrawo pazurki germanizacyjne pisma niemieckiego katolickiego. Pisma protestanckie są przynajmniej otwarte i z góry, otwarcie żądają germanizacyi ludu polskiego na Górnym Szlązku, pisma katolickie niemieckie powiadają, że one są przeciwne gwałtownej germanizacyi, ale nie mają nic przeciwko powolnej germanizacyi. Dziecko trzeba powoli, łagodnie germanizować, ażeby mu to nie podpadło, ażeby sobie mowę niemiecką polubiło. Sypie im się cukier do tej przyprawy, która się nazywa powolnem germanizowaniem, ażeby dzieciom ta germanizacya zasmakowała. Przeciwnik otwarty nie jest tak niebezpieczny, jak właśnie taki przeciwnik obłudny. Obłudą bowiem nazwać można podobne postępowanie katolickiego pisma, które na zewnątrz pokazuje, że broni niby mowy ojczystej a w gruncie rzeczy chce tak samo germanizować. Zaznaczyliśmy to, ażeby czytelnicy nasi się przekonali, do czego to dąża nasze pisma katolickie. Nie kierują się one sprawiedliwością, ale interesem. Interes wymaga, ażeby w tym czasie, gdzie lud na Gornym Szlązku jest polskim. niby go bronić, bo inaczej ten lud polski prędzejby się poznał na farbowanym lisie. Do takich właśnie obrońców języka naszego polskiego należał niebożczyk „Kuryer Górnoszląski“ i obecnie w Królewskiej Hucie wychodząca „Gazeta katolicka“. Gdyby „Gazeta katolicka“ miała bowiem te same zasady, co nasze trzy na Szląsku wychodzące pisma, jak „Nowiny Raciborskie“, „Katolik“ i „Gazeta Opolska“, wtedyby jej z pewnością nie wydawano pod bokiem zasłużonemu „Katolikowi“, nie nazywałoby się, że „Gazeta“ pragnie walczyć z „Katolikiem“. Gazety, które bowiem pragną służyć uczciwie sprawie polskiej na Szlązku, nie walczą ze sobą w sprawach zasadniczych, to jest w sprawach obrony ojczystego języka.

*

* *

W sprawie „Morskiego Oka“. „Przegląd Wszechpolski“ zamieszcza w spornej kwestyi „Morskiego Oka“ list nadesłany redakcyi przez jednego z przedstawicieli społeczeństwa węgierskiego. List ten, rzucający nowe światło na pojmowanie zawiłej sprawy wśród Węgrów, podajemy poniżej:

„Nareszcie nieszczęsna sprawa „Morskiego Oka“ weszła w stadyum, w którem można się spodziewać należytego jej rozstrzygnięcia. Pomimo swego „non possumus“ musiał i rząd węgierski nieco swobodniej odetchnąć, gdyż smutny zatarg przyczynił mu sporo kłopotów.

Stało się np. rzeczą wiadomą, że nietylko w 16 i 17 stuleciu górale pasali swe stada na spornem terytoryum, ale że nawet przed r. 1879 Aladar Salamon nie przeszkadzał temu, z tego zapewne względu, że nie uważał wspomnianej przestrzeni za swą własność.

Dalej polecił rząd władzom komitatu spiskiego zebranie wszelkich dokumentów odnoszących się do procesu i przesłanie ich sobie. Wszelkie atoli poszukiwania okazały się bezowocnemi. Żadnego nie znaleziono dowodu.

Oto delikatne orzeczenie delegacyi komitatu spiskiego, która roztrząsała sprawę w komisyi. Brzmi ono: „iż szkoda trudów na pertraktacye w sprawie pomienionego terytoryum, nie dotyka ono bowiem żadnego ważnego interesu państwowego“. Gdyby przedstawiciele Spiżu uważali sporny obszar za naszą (węgierską — przyp. red.) własność, to już ci raport ich brzmiałby inaczej, ponieważ atoli przekonanie ich było całkiem przeciwne, przeto sądzili, iż rządowi w tych słowach rzecz należycie wyjaśnią. Mądrej głowie dość dwie słowie.

Tak popadał rząd z jednego kłopotu w drugi, aż wreszcie znalazł się „karyerowiec“ (Streber) w postaci urzędnika sądowego, który spróbował go wyciągnąć z fatalnego położenia. Ten ogłosił w Gazecie prawniczej artykuł, w którym doszedł do wniosku, „że określenie, czy jakaś część kraju należy de facto do Węgier, stanowi wyłączną kompetencye rządu“. Rząd węgierski uznał te szczególną opinię i „non possumus“ zaczęło się na nowo.

Niedługo jednak miał trwać ten szał zwycięzki, król bowiem wyraził życzenie, ażeby sprawę rozsrzygnięto rozjemczo, skutkiem czego znajdujemy się na drodze do rozwiązania kwestyi. Zachodzi atoli pytanie, jakiego rodzaju to rozwiązanie będzie?

Co do tego, w Pester Lloydzie ukazał się w lutym artykuł, pochodzący ze źródła polskiego, w którym wyrażono zdanie, iż „przy Polakach winny zostać oba jeziora (tj. Morskie Oko i Czarny Staw) z przylegającym do nich pasem ziemi“. Byłoby to w istocie najłatwiejsze rozwiązanie kwestyi i mogę Was jak najmocniej zapewnić, że tego rodzaju projekt już w roku zeszłym znajdował się w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Czy sąd rozjemczy zajmie takie stanowisko, to się w przyszłości okaże, że jednak projekt ten jest rozpatrywany, na to mogę Wam zaręczyć, można się więc spodziewać, że kwestya w tym duchu będzie rozstrzygnięta.

W istocie rzeczy, nie można znaleźć łatwiejszego rozstrzygnięcia, zwłaszcza, jeżeli sprawa ma być załatwiona nie ze ścisłego stanowiska prawnego (?), ale drogą ugody. Jeżeli ze strony węgierskiej przyznają, że linia przecinająca jezioro lub rzekę nie może być poczytana za naturalną granicę, jeżeli dalej z polskiej strony chcą uznać Białkę za linię graniczną pomiędzy Węgrami a Galicyą, to nie ma już żadnej trudności o rozstrzygnięciu kwestyi.

Chciałbym przy tej sposobności wskazać na błąd, jaki popełnia Galicya względem Węgier. Panuje mianowicie przekonanie, że w sprawie sporu o Morskie Oko upór rządu węgierskiego podziela także węgierski ogół. Jest to krzyczący błąd! Nie było chwili, żeby publiczność węgierska gorączkowała się choć cokolwiek sprawą Morskiego Oka, albo głowę sobie nad nią łamała. Morskie Oko — to dla nas terra incognita. Nie spotkałem dotąd żadnego Węgra, któryby wiedział, czy Morskie Oko jest własnością węgierską, czy polską. Ja sam słyszałem coś o niem przed rozpoczęciem sporu, zresztą chodziłem do szkoły, uczyłem się geografii, a nie znam ani jednej węgierskiej książki szkolnej, w którejby się znajdowała choć wzmianka o Morskiem Oku. My interesujemy się wysokiemi Tatrami głównie dopiero od czasu, jak Tatra-Füred (Szmeks) weszło w modę, jako miejsce lecznicze, ogłaszanie atoli przez Węgra spornego terytoryum za naszą własność, byłoby po prostu niedorzecznością, gdyż Morskie Oko było i jest dla węgierskiego ogółu — jak już wyżej wspomniałem — terra incognita.

Również i parlament węgierski nie jest tak bardzo przeniknięty sposobem zapatrywania się rządu.

Gdy poseł Veszler interpelował swego czasu w tej sprawie ministra spraw wewnętrznych, przerwano mu z gniewem i drwinami. „Nie bądź pan śmiesznym!“ „Szkoda się tak wysilać!“ — wołano mu z lewicy, a poseł stronnictwa niezależnego Thali zapytał szyderczym tonem: „Gdyście jednak mieli sprawę nad Litawą (tam bowiem mieliśmy także spory graniczne), toście się okazali uleglejszymi?

---

jął, akby zła wróżba bezpośrednio do niego stosowała się. Gdy się tylko w pokoju swoim znalazł i fajkę zapalił, gdy od wrażeń przeszedł do myśli, stanęło przed nim pytanie:

— Czy Pieti nie stało się co złego?

I nad tem pytaniem zastanawiał się. Cożby się stać mogło? Przypomniał sobie wszystkie szczegóły listów ostatnich — nic w nich nie znajdował ani podejrzanego, ani zatrważającego. Uczy się... dobrze się uczy... gorąco kocha naukę... rozrywki się wyrzekł, byleby tylko egzamina mógł złożyć dobrze... Gdyby tylko Pan Bóg pozwolił mu uniwersytet ukończyć — potem w świat... niech pracuje dla innych...

Chodził po pokoju, fajkę palił i myślał dalej:

...W świat... w świat z pochodnią nauki w ręku... nie tak, jak ja... niech go Bóg broni... O pieniądz starać się nie potrzebuje... nie będzie na to marnować sił i... sumienia...

Wypuścił kłęby dymu z fajki i wyszeptał:

— Sumienia... — jakby brzmienie tego wyrazu posłyszeć pragnął.

Różne myśli wiły się przed nim i kręciły się jak płatki spadającego śniegu w powietrzu. Stanął nagle po środku pokoju i nieruchomy wzrok utkwił w szybę okienną, zarysowaną przez mróz w kwiaty, arabeski. Stał, patrzał wzruszony i zdziwiony. Nie widział ani okna, ani kwiatów przed sobą, ale inny obraz — daleki, zatarty dawno w pamięci... Za tym obrazem następował drugi, trzeci — otaczały go rojem, snuły się przed jego oczyma... Poznał je widocznie, bo się uśmiechnął sam do siebie i w jeden wyraz złączył:

— Wilno...

Przesuwały się przed nim po kolei: baszta przed kościołem... kolumnada... dawny ogród botaniczny... góra zamkowa...

Potem obrócił się i pełen rezygnacyi ruch ręką zrobił.

— Duraczestwo — pomyślał

Zbliżył się do fotela i usiadł. Starał się myśl oderwać od tych przedmiotów, w inną stronę skierować, ale ona, nieposłuszna, krążyła koło niego i drażniła bezustannie.

— Niech go Bóg broni — pomyślał. Brwi mu się nasępiły, a palce konwulsyjnie zaciskały się jak szpony jastrzębie, gdy się dotkną ciepłego ciała skowronka. — Pojechałem do Moskwy na uniwersytet innym, młodym, z nadzieją w duszy, z miłością do ludzi... a potem... potem spadłem w przepaść...

Nagle pięść zaciśniętą podniósł do góry i z całą gwałtownością opuścił ją na własne kolano, na które z głuchym łoskotem spadła, jak gdyby pragnął w ten sposób uplastycznić swój upadek.

Burza wewnętrzna, z którą się nigdy przed nikim nie zdradzał, opanowywała go coraz bardziej. Otoczony atmosferą dymu i ciszą pokoju, Iwan Matwijowicz prowadził ze sobą jakieś rozmowy i walki i uchylał rąbek nieznanego nikomu świata i życia. Gdy siedział zamyślony i nieruchomy, cicho otworzyły się drzwi i ukazała się na progu twarz żony.

— Może chcesz herbaty?

— Dobrze.

— Pójdziesz do sali jadalnej?

— Nie, przyszlij mi tutaj.

Katia bojaźliwie zamknęła drzwi i wyszła. Wróciła po chwili, niosąc w ręku szklankę herbaty i postawiła na stoliku, tuż obok fotela. Postawiła i stała zmieszana nieco zarówno milczeniem męża, jak i tem, co się stało.

— Bóg da, nic złego nie będzie — rzekła wreszcie na męża patrząc.

Ale Iwan Matwijowicz spojrzenia na nią nie podniósł. Słowa jej nie sprawiły mu ani pociechy, ani radości. Przeciwnie, zdało mu się, że wiatr chłodny powiał na niego.

Po wyjściu żony, przechyliwszy się nieco do stolika, obojętnym ruchem szklankę z herbatą ku sobie przysunął, parę łyków pociągnął i znowu w obłokach dymu utonął.

Obrazy młodzieńczych lat, spędzonych w Wilnie, były tym wichrem, który w nocy na stepie wyje, śniegiem sypie, wygrzebuje z ziemi zwiędłe i przemarzłe badyle niedawno jeszcze wysmukłych dziewann, rosochatych buraków i na skrzydłach swoich Bóg wie gdzie unosi. Przesuwały się one przez

Nie prawda?“ Stronnictwo rządowe przyjęło wyjaśnienie ministraPerczela głębokiem milczeniem, skoro jednak ten zapewnił izbę, że spór o Morskie Oko będzie rozstrzygnięty ku zadowoleniu obu stron, wtedy i ono wykrzyknęło: eljen!

Nawet prasa nasza w żaden sposób nie może się gorąco przejąć „naszemi prawami“ w tym sporze. W roku zeszłym ukazał się w Politikai Hetiszemle artykuł o tej sprawie, ale wypowiadający się na korzyść Galicyi, Redakcya zaopatrzyła go w następującą uwagę: „Ogół węgierski nie będzie wcale stawiał przeszkód rozstrzygnięciu sporu o Morskie Oko raczej da swe zezwolenie na to, ażeby Morskie Oko oddano Polakom, głównie dla tego, że polskie pretensye są bardziej uzasadnione, aniżeli pretensye rządu, a następnie, ponieważ względy polityczne wymagają, byśmy raczej zachowali przyjaźń Polaków aniżeli „Morskie Oko“ (Morskie Oko — tengerszem, w przenośni: kropla z morza).

Widać ztąd, iż zapatrywania rządu i narodu węgierskiego w tej sprawie wcale nie są identyczne, Więc: niech żyje „Morskie Oko“ polskie!

— *ski*.

LITERATURA I SZTUKA.

RYM.*)

(Do jednej pani, która ganiła moje rymy zbyt proste).

Władysławowi Reymontowi
w przyjaznym upominku
od autora.

I

A więc nie lubi pani mych rymów, zbyt prostych?
Wolałabyś, by pieśń ma dźwięczała niezwykle,
Świecąc, jako potrójnie złocony akrostych —
Rymy, powiązanemi w niespodziane cykle.
Prawda, rym jest dla pieśni, czem dla mózgu czerep,
Co myśl okrywa ludzką, jak perłę szczeżuja.
Rym to niebo i słońce, to piekło i ereb:
W nim muzyka istnieje — jakby echem buja.
Im melodya bogatsza — pierś oddycha szerzej —
I promienistsze barwy w rymów hyjacyncie —
A pieśniarz, mknąc ku górze do niebieskich wierzej,
Zda się wołać słuchaczom: Płyńcie za mną, płyńcie.
Bo rym, gdy z niespodzianych, rzadkich sylab spleciony,
Zda się, że treść natury lepiej uwypukli:
Jak potęgę wzburzonych fali morskiej wrzecion
Gromada nimf złocistych od złocistych pukli.

II.

Tak! rym czasem ma szczęki kutych w ogniu żelaz,
A czasem niby echo jakichś wspomnień rajskich;
Czasem — zda się — jak bogów pełna Anafielas —
Lub samotna pustynia proroków hebrajskich,
Są rymy, które dzwonią jak rycerski brzeszczot,
Są rymy, które huczą jak miedziane gongi,
Które tchną pocałunków zapachem i pieszczot;
Są — zda się — marmurowe jak greckie posągi
Są rymy, tak szalone jak skoczne fandago,
Są, w których grób uśmiechu ślad ostatni zatarł,
Są, które pachną piżmem, żywicą, hidrangą,
Są — rzekłbyś — jako bogów widomy awatar.
Rym to wszystko: melodya, zapach i koloryt,
Myśl, forma, bicie serca. Słuchaj ty, co śpiewasz,
Niechaj z twych rond i ballad, sonetów, rifiorit
Dusza wytryska, ale rymu nie lekceważ!
Tracisz mocy połowę, myśl od rymu dzieląc,
Bo czemuż zieleniejе w rymie pól aksamit?
Huczy wicher, żeś gotów w duszy swej się przeląc?
Czemu przeszłość w nim żyje, jak w twierdzach piramid?
Przeto, że treść i forma są jak brat ze siostrą —
Niech ci żadne nie będzie jako pan lub murzyn,
I kiedy razem skrzydła ku niebu rozpostrą,
Niech płyną jak dwa duchy dwu bliźnięcych drużyn.
Wiem! kocham rym, jak słodki upojenia kielich —
Potężny jako włócznia, cenny jako szmaragd;
Jasny, jak kryształ, rzewny — jako pieśni El...ych,
A tęczami płonący jak strugi katarakt.
Świat rymów jest tak dla mnie jak gotycki kościół
Którego szczyt niebieskich — rzekłbyś sięga posów;
Żyłem w nim — ale duch mój na dwoje się rozciął
I słucham teraz nowych, niespodzianych głosów.

III.

Pierś mi strawił zatruty mego wieku rozczyn —
Duch, zmęczony, że samby pragnął siebie przerość,
Tęskni dziś za spokojem zapomnianych wioszczyn,
Gdzie, pod lip starych cieniem, kwitnie złota szczerość
Znużyły mnie zawroty tej abrakadabry —
Prostoty chcę — zieleni — wśród lasów i opól:
Nęcą mnie kraśne maki i niebieskie chabry,
Szmery wód, ciche szumy rokicin i topól.
I chciałbym ksiąg zapomnieć, których czar mnie urzekł
I stanąć odrodzony wśród zielonych muraw
I usiąść nad strumieniem w kole dobrych wróżek
Lub ulecieć nad pola jak swobodny żóraw.
I chciałbym, zapomniawszy pieśni kłamnych syren,
Wsłuchać się w tajemnice borów Zendawesty —
I jak jaskółka spadać na prostaczy świren,
Lub kwitnąć jak na piaskach nadwiślańskich rdesty.
I tak chciałbym, z nieziemskich odrodzony przyczyn,
Pojąć pieśń, którą śpiewa dziś dla ludzi ziemia,
Którą pszczół roje brzęczą wśród gryk i koniczyn,
I którą szumią ludzkie ule i żeremia.
Bo wierzę, że w tych szumach żyje Boża czeladź
Kwiatów, ptaków, motyli — i chciałbym balsami
Zapach łąk w serce przelać — i zwolna się wcielać,
W treść istot, z którą w końcu duch się utożsami.
Chciałbym, by światło błysło w moich oczach ślepych,
Bym je zamknął na fałszu uwodzące złoto,
Bym, pojąwszy natury prostotę i przepych —
Jak ona lśnił przepychem naraz i prostotą.

IV.

Niech mi nikt nie zarzuca, że pieśń moja pełza,
I żem opuścił rymów tęczowe Dżennaty,
Lecz moja dłoń Pegaza swego sama kiełza:
Szukam ciszy, bo w ciszę duch mój nie bogaty.
Kochałem pełnię rymów. Poznałem najżadsze
Klejnoty mowy bogów i najsłodszy zapach
Ich kwiatów. Po czarownym pieśniarzy teatrze
Wędrowałem swobodnie, jak po znanych mapach.
Ale teraz już rymy dobieram najprostsze,
Po Edenie płaczący jak po synach Rizpah:
Bo serce mi przebiło długich zwątpień ostrze —
I tam dzisiaj spoglądam, gdzie odrodzeń wyspa...
Więc nie dziw się, że u mnie nie napotkasz częstych
Rymów, wyświątecznionych w brylantach i perłach.
Są, którzy gonią rzadkie rymy. Lecz ja drwię z tych,
Co to czynią. Jam pielgrzym, co wchodzi na Gierłach.
Więc rzucam wszystek ciężar — i chcę na gołoledź
Szczytu gór iść swobodny — z jedną tylko cytrą,
A duch jakiś mi szepce: Poleć w górę, poleć,
I pożegnaj na wieki wszelką sztukę chytrą.

V.

Tak, bo rym się bez trudu w poezye ularwi;
Poezya dziś z swych wyżyn zeszła w nędzę dolin,
A każda ciemna fala uda falę narwi

*) Powyższa satyra na manję szukania trudnych i niezwykłych rymów dowodzi, że i wśród młodych poetów zaczyna się budzić reakcya przeciw nadmiernej sztuczności formy i zwrot ku Mickiewiczowskiej prostocie. Objaw ten witamy z szczerem zadowoleniem. Przyp. Red.

---

całe jego życie, oświetlając je coraz innem światłem.

Dzieckiem prawie opuścił Wilno i już do niego nie wrócił. W Moskwie znalazł naukę, pracę, ale zatarło się życie dawne, Dla spokoju dużo poświęcił, a jednak stało się inaczej. Nie szczęście przybywało z wiekiem, ale tęsknota i smutek Bóg wie za czem, Bóg wie do czego — do innego świata, innych ludzi; a uspokojenia szukać musiał w kieliszku. Nie, nie uspokojenia. Wódka innym dawała zapomnienie i wesele, a jemu smutek. On pił dla tego, że podbudzona wyobraźnia przenosiła go w inny świat — dziecinnego szczęścia, życia przy rodzicach i malowała mu na tem tle tysiące obrazów. Wywoływał je sztucznie, rozraniał duszę umyślnie, ażeby ten świat, ledwie zapamiętany, zamierzchły, zatracony, do życia powołać.

Gdy go wstrętem napełniała ta różnica, w jakiej płynęły jego dnie i lata, gdy go karty i kieliszki, doraźnie wychylane, nie zadawalały — zaczynał pić namiętnie bezustanku, ażeby w tem sztucznem podnieceniu czas jakiś przeżyć.

O tem, co się z nim dzieje, nie mówił nikomu, — komoż miał mówić? Wpadł w otoczenie przypadkowe, pospolite, związał się z niem, skrępował swoje życie i już się odłączyć nie mógł. I po co? Wiedział, że już nie do nowej wiosny, ale do grobu idzie. Męczyło go to ustawiczne drażnienie siebie i zamykanie myśli, ażeby nie wymknęła się, nie zdradziła się ani przeszłością ani teraźniejszoscią.

W miarę, jak go ogarniała coraz bardziej choroba nieznanej dawnej tęsknoty i żądza osamotnienia, stawała przed nim przyszłość syna — co z niego będzie i co z nim będzie?

— Niech da pokój ze służbą... dosyć... pójdzie taką drogą, jak ja, albo taką, jak oni. .

Przesuwały się wówczas w pamięci jego szeregi wysokich dygnitarzy, utuczonych, wygolonych, nadętych jak indyki, rozprawiających o sprawiedliwości i prawie, które im pomogły utuczyć się, zebrać pieniądze i resztę życia spędzać przy pełnem korycie.

— Niech go Bóg strzeże...

Tak nim miotały różne marzenia i myśli, że sobie rady dać nie mógł. Gdy go smutek bezgraniczny zmęczył, usiadł w fotelu, twarz zakrywszy obiema rękoma i siedział bezwładny, otoczony rojem brzęczących koło niego myśli, które z ciszą zlewały się w jedną niepojętą, pełną smutków i bólów muzykę. Od czasu do czasu zdawało się mu, że przesunęła się przez pokój postać syna, — wówczas roztwierał gorączkowo powieki, poruszył się niecierpliwie i znowu zamykały mu się oczy, ażeby nowy obraz w tej ciszy mogła mu własna wyobraźnia pokazać.

Na stoliku stała do połowy wypróżniona butelka jakiejś nalewki — ale Iwan Matwijowicz nie sięgał ręką do niej i do kieliszka. Miał już tego dosyć. Pił dużo, ażeby zagłuszyć gorycz, rozlaną w sobie — i nie mógł; pił — i nie zdołał się upić ażeby módz przynajmniej zasnąć i zapomnieć o wszystkiem.

Siedział z zamrużonemi oczyma, przytomny przytomnością pijaka, o którego słuch uderzyły tylko szmery i dźwięki ciszy i zdawało mu się, że słyszy własne myśli, ujęte w jeden wyraz:

— Syn... syn... syn...

Nagle twarz jego trupio-blada ożywiła się nieco, a głowa pochyliła się naprzód, jak gdyby miał zamiar zerwać się z fotelu i biedz do kogoś; powieki poruszyły się, jakby się pragnęły otworzyć i nie mogły. W tej ciszy i ciemności posępnej, wśród ktorej grały jakieś szmery i drgały promienie niewidzialnego świata, cichy szelest zwrócił jego uwagę. Słuch natężył i spojrzeniem zamkniętych oczu wpatrzył się w ten punkt, zkąd ten szelest doleciał do niego.

Nagle zdało mu się, że wiatr musnął go po twarzy, jak gdyby cień jakiś przesunął się koła niego.

Istotnie... cień... ktoś wszedł... suknia kobiety...

Chciał się zerwać — i nie mógł. Ktoś znajomy... wpatruje się... wzrok natęża — nie może poznać. Wreszcie zawołał gwałtownie:

— Kto to?

Cisza... Tylko cień ów poruszył się

I dzisiaj sztuka rymów to nuta mandolin.
Jest t r a l a l a na wszystko — formuły, algebra —
W legiony dziś się rozrósł wierszopisów szereg,
I rymy leją gładko, niby wodę z cebra,
A łatwo tak, jakby to był walec lub oberek.
Są i dziś, którzy pieśni podniósłszy chorągiew,
Nie pamiętni światowych złoceń i uszerścień,
W leśnej gąszczy słuchają śpiewu makolągiew,
Szukając, gdzie natchnienia czarodziejski pierścień.
Chwała wam, o pieśniarze, bolu wychowańce,
Co bój toczycie z tłumem ciemnoty dziwożon
I znajdujecie w liliach jad i krew w sielance:
Przed wami czcią przepełnion stoję i ukorzon.
Ale więcej jest takich, co jakoby chrząszcze
Brzęczą — rymy odwieczne przebrzmiałych kantyleny
Bo im już przerąbano od dawna te gąszcze,
Gdzie nad majakiem pieśni dzisiaj płacze sylen.

VI.

Nie lubię rzeczy łatwych. Lubię łamać granit,
Lubię słuchać jak szumią Oceanów larga,
Jak płaczą nad tytanem chóry Oceanid,
Gdy Jowisz się nad nimi piorunami targa.
Więc innej szukam drogi. Może pieśń upiększy
Rym, jaki nam góślarze zostawili dzicy —
Pierwotny — lub ów pieśniarz najprostszy, największy,
Wojciech Święty, co śpiewał o Bogarodzicy,
Albo śpiewać, jak niegdyś Imćpan Rey z Nagłowic,
Co nie znał rymów złotych, ani dźwięcznych cytar,
Lecz duszę miał czującą i wzrok jak ostrowidz
I jędrnych słów na gładkość cukrzoną nie wytarł.
Lub dziwną stworzyć mowę: ni to wiersz ni proza —
I aby w tajemniczych prozy tej orkiestrach
Płynęła przeczuciowa mgieł mistycznych groza
I drgał podziw i zapał, śmiech i płacz i przestrach.
Biały wiersz — cud nad cudy — lampa czarodziejska,
Heksametr, z iljonowych wzięty wykopalisk,
Jak pantera wygięta w skok — strofa alcejska:
Oto co dziś mnie nęci, niby wzrok odalisk.

A. Lange.

Byron'owskie „Wędrówki Childe-Harolda".

(Z powodu nowego przekładu).[1]

„Wędrówki Childe-Harolda" rozpadają się na dwie części, pokrewne formą, ale różne nastrojem i wartością. Pieśni III i IV przewyższają nieskończenie pieśń I i II i to zarówno pod względem ideowym, jak i artystycznym.

Pieśni początkowe noszą wprawdzie na sobie wyraźne piętno talentu Byron'a, ale stoją znacznie niżej od dojrzalszych jego utworów.

Stanowią one rodzaj poetycznego dziennika podróży, wypełnionego szeregiem pięknych, rysowanych z natury obrazów, ujętych w ramy melancholijnej refleksyi.

Wędrowcem, opowiadającym swoje wrażenia i smutki, jest młody arystokrata, którego po hulaszczem życiu i zawodach miłosnych ogarnęło cierpienie straszniejsze od „samego nieszczęścia" — cierpienie przesytu. Nad innemi tonami przeważa tam już nuta niechęci do ludzi i cywilizacyi, oraz przywiązania do przyrody — nuta, która brzmi bardzo silnie we wszystkich późniejszych dziełach Byrona (II, 25).

Siadać na skałach, dumać nad wodami,
Lasów odwieczną przebiegać gęstwinę,
Zamieszkiwanych przez dziką zwierzynę
Nieznającą nas, ludzi, panami...

. . . .

To nie samotność; to rozmowa żywa
Z naturą, co nam swe czary odkrywa.

Obok tego jednak nie brak ustępów, nasyconych i przesyconych nawet melancholią, zniechęceniem i „spleen'em", ale spleen'em zabarwionym tak indywidualnie, że wprowadzenie tego żywiołu do literatury stworzyło epokę nietylko w Anglii, lecz i w całej Europie. Na rysopisie i skargach Childe-Harolda Byron'a[2]) wzorowali się „bajroniści" wszystkich salonów i klubów. Każdy z nich udawał, że dźwiga w piersi brzemię tajemniczego smutku i jęczał, nie zapominając przybrać pozy, któraby łączyła harmonijnie bezgraniczną rozpacz z kokieteryjnym wdziękiem:

Nie myśl, że ból miłosnych pęt
Albo nienawiść ludzi,
Lub żal ambitny — we mnie wstręt
Do uciech życia budzi.
To p r z e s y t, który dziś co krok
Dusza i zmysły czują...
Dokądże tułacz uciec ma
Przed s o b ą? w które strony?
Gdy z nim tuż, tuż żywota r d z a
Z nim myśli ach! demony!

Ten bajronizm salonowy wielką wyrządził krzywdę pamięci i sławie autora „Wędrówek", który, poza melancholią, dotykał wielu jeszcze innych strun, dźwięczących bardziej męzkim, śpiżowym dźwiękiem. Dla tłumu atoli Byron pozostał przedewszystkiem śpiewakiem nudy i przesytu. Tymczasem to fałsz absolutny, to jedno z owych licznych kłamstw konwencyonalnych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie i zaciemniających prawdę.

Kto zadał sobie pracę uważnego przeczytania nietylko takich dzieł, jak „Kain" i „Don Juan", ale nawet samego „Childe Harolda", przekona się, jak mylnym był, a w części i jest jeszcze sąd szerokiego ogółu.

Już w pieśniach początkowych są ustępy, świadczące, że poeta, wobec wypadków ważnych odrzucał apatyczną maskę znudzonego życiem i rozpustą dandysa i umiał śpiewać hymny zachwytu, lub rzucać gromy oburzenia. Tak np. (Pieśń II, XI), woła do łupiezcy rzeźb Partenonu, Lorda Elgina:

O, Szkocyo, skąużeś taki potwór wzięła?
O, Anglio, ciesz się, że to nie twe dziecię
Wstyd wolnym ludziom szpecić wolnych dzieła...

. . . .

Pikt nowoczesny chlubi się z talentu,
Że czego Goty i Turki i burze
Nie doniszczyły — on zniszczył do szczętu!
W tej to poziomej, a twardej naturze,
Wzrosłej wśród szkockich skalistych nadbrzeży
Mogła się wylądz myśl takiej szkarady!
Rabunku resztek skarbnicy Pallady i t. d.

[1]) „Wędrówki Childe-Harold", poemat lorda Byron'a, tłomaczony z angielskiego przez A. A. K., Kraków. Cytujemy według tego przekładu.

[2]) Pierwotny tytuł poematu był Childe-Burun: takie zaś nazwisko nosił protoplasta arystokratycznego rodu Byron'ów.

---

i stanął wprost naprzeciwko niego i zdawało mu się, że wyraźnie słyszy głos jakiś:

— Janku... mój biedny Janku..

Poznał ją poznał.

Rzucił się konwulsyjnie, jak gdyby pchnięcie sztyletem w serce dostał, oczy przemocą otworzył i, błędny wzrok w przestrzeń utkwiwszy, wybełkotał przestraszonym głosem:

— Matka... matka...

Nerwowym ruchem rąk zaczepił o stolik i szklankę, które z łoskotem na ziemię runęły, ale on nie słyszał tego łoskotu. Ręce, wyciągnięte do widma, które się przed nim zjawiło, osunęły się powoli, a Iwan Matwijowicz wstrząśnięty do głębi, upadł na fotel i płakać gwałtownie począł.

Płacz sprawił mu nieco ulgi.

— Co się zemną dzieje — co dzieje? szeptał sam do siebie — chory jestem...

Przytomość umysłu wracała mu na chwile, a wówczas starał się zanalizować stan swój dziwny, nerwowy, rozdrażniony — i mimowolnie wracał znowu do młodości, do życia, do tej smutnej teraźniejszości, która próżnią swoją tak go gniotła i w nicość bezdenną wtrącała. Porównywał siebie do bociana, zranionego w skrzydła, który widząc innych odlatujących z krzykiem wesołym w dalekie i nieznane kraje, zrywa się do lotu, podskakuje, upada i wreszcie pozostaje samotny, wśród tej samej łąki, gdzie jeszcze niedawno brzmiały ożywione klekoty współbraci.

Czy pomyślał kiedy o tem, czem się stanie, gdy pełen nadziei ostatni raz przez Ostrą-bramę przejeżdżał? A co się stało? Zamiast dawnego ciepła, o ktorem tyle serdecznych wspomnień mu pozostało, otaczała go sucha, obojętna, inna jakaś atmosfera duchowa, w której się dusił i czuł, że co dnia trudniej mu o oddech swobodny.

Wstrząśnięty tem widzeniem, które przesunęło się przed nim niby wyrzut sumienia, niby echo, które brzmieniem swojem przypominało głos dawno znany, wpadł w zupełną apatyę, z takiem osłabieniem fizycznem, że przez kilka dni świąt Bożego narodzenia wcale z pokoju nie wychodził. Przyjechał sprawnik, kilku urzędników sądu okręgowego: przez dwa dni i dwie noce słychać było tylko bezustannie: „pas" i „stuczu" — ale Iwan Matwijowicz nie brał żadnego udziału w tej rozrywce i „odpoczynku". Otworzył przed nimi dom swój, ale przed żadnym nie otworzył serca. „Batiuszka" i Katia rządzili w tym domu bez opozycyi, szczególnie od czasu, gdy Iwan Matwijowicz coraz bardziej zapadać począł na melancholię. Na wszystko patrzył obojętnie.

— Jeszcze rok — dwa i oddam majątek Pieti.. niech sobie robi, co chce.,.

Na trzeci dzień rozjechali się nieproszeni goście, ale w usposobieniu i stanie Iwana Matwijowicza nic się nie zmieniło. Pod wpływem przygniatającego go uczucia smutku, goryczy i osamotnienia, napisał do syna długi list, prosząc, ażeby egzamina swoje przyspieszył i koniecznie na Zielone Święta przyjechał, napomknął mu o tem swojem osamotnieniu, o tem, że go życie przedwcześnie zmęczyło, że pragnąłby Nenadyche oddać co rychlej w jego ręce. Włożył list do koperty, zapieczętował, położył na stoliku z zamiarem oddania nazajutrz na pocztę i o losie syna zamyślił się.

Po chwilce zdało mu się, że szmer jakiś za oknem posłyszał, któremu towarzyszyło dalekie szczekanie psów. Podniósł głowę, wzrokiem natężonym do okna spojrzał i widział wyraźnie kilka postaci ludzkich, przesuwających się powoli. Powstał z fotelu, ażeby się do okna zbliżyć i przypatrzyć temu, gdy nagle szyby okienne zadrżały od uderzeń fal głosowych, a w pawietrzu zabrzmiały znane słowa kolendy:

Przybieżeli do Betleem pasterze,
Grając skocznie Dzieciątku na lirze:
Chwała na wysokości,
Chwała na wysokości,
A pókój na ziemi...
Oddawali swe ukłony w pokorze
Tobie z serca ochotnego, o Boże!
Chwała na wysokości,
Chwała na wysokości.
A pokój na ziemi..

Przyspieszone tempo kolendy, te głosy proste nieuczone, lecz szczere, które z serca śpiewaków rwały się, uderzyły całą wielką, świeżą falą w umysł i serce Iwana Matwijowicza i zatrzymały go pośrodku pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O wiele więcej podobnych, oraz silniejszych i głębszych ustępów znajdziemy w pieśniach III i IV, napisanych w kilka lat później, kiedy poeta, przeszedłszy przez szkołę nieszczęścia i bólu, dojrzał umysłowo i moralnie[3]).

Fikcyjny bohater zeszedł tam już na drugi plan i poeta mówił głównie w swojem imieniu.

Do najpiękniejszych ustępów należą rozmyślania na polu bitwy pod Waterloo (III, 17—45), oraz przecudowny obraz Wenecyi tego „snu marmurowego“, jak ją pięknie nazwał Gabriel D'Annunzio!

Rzekłbyś Cybela, gdy ją morska fala
Świeżo wyniosła: z basztami w tyarze,
Majestatycznie jaśniejąca zdala
Wielka rządczyni na wodnym obszarze itd.

Dziś tu już Tassa nie dźwięczą oktawy;
Milczkiem gondole po kanałach suną;
Nie często pieśni, nie często zabawy,
A te pałace może rychło runą!

Wspaniałą także i głęboko odczutą jest elegia, wyśpiewana na gruzach Rzymu „mocarstw umarłych matki samotnicy, Niobe narodów, wyzutej z tronu“.

Największa atoli liczba strof poematu poświęconą została, jak zwykle u Byron'a, subjektywnym wynurzeniom. Skarży on się, że cierpi — a wtedy już miał prawo do skargi! — że i źródło jego życia zatrute, i że zatruli mu je ludzie. Od ludzi więc ucieka poeta na łono przyrody, rzucając im takie pożegnanie:

Światam nie lubił i on mnie nawzajem,
Lecz, jak uczciwe wrogi się rozstajem.
Na niewidziane wierzę, iż są słowa
Warte uczynków, że cnota surowa
Zna miłosierdzie, z grzesznika nie szydzi itd.

. . . .

Stronić od świata nie znaczy to zgoła
Mieć dlań nienawiść: niekażdy bo zdoła
Troskom i burzom życia stawić czoła;
Nie przez nienawiść więc ucieka dusza
Do swego źródła,

Żyć jednak wśród ludzi — trudno. Ze wszystkich więzów, krępujących człowieka, więzy społeczne trzymają najmocniej i najciaśniej. Kto ich znosić nie umie, musi porzucić społeczeństwo i szukać pociechy w samotności i obcowania z naturą. Do natury więc, jak Goethowski Werter i Chateaubriand'owski René zwraca się i Childe-Harold. Przekonawszy się, „jak miał mało do zażyłości z ludźmi uzdolnienia“, czując się wśród nich „jak dziki sokół w klatce uwięziony, którego życiem powietrzne przestworze“, poeta

Góry sobie za druhów obiera
Za dom rodzinny oceanu tonie;
Gdzie pod szafirem niebios ciepło wionie
Tam się dlań przestrzeń wędrówek otwiera.

Tutaj mu dobrze, tutaj — woła:

Czuję się cząstką tego otoczenia
W tych górach tętna żywe dla mnie biją,
Tylko gwar miejski jest nie do zniesienia.
. . . .
Do miłowania bliźnich się poczuwam
Lecz nadewszystko naturę miłuję.

A im dzikszą, im niedostępniejszą przyroda, tem rozkoszniejsze sprawia ona wrażenie. Żywioł nieokiełznany dotąd przez nikogo, ocean, przy którego brzegach kończy się władza człowieka, zachwyca tego potomka skandynawskich królów-morza, wikingów;

Tyś jest zwierciadłem pysznem: bo się w tobie
Wszechmoc odbija; tyś jest w każdej dobie,
Czy cicho drzemiesz, czy wzburzasz swe fale
Z lekkim wietrzykiem, czy w orkanu pędzie,
W podbiegunowym mrozie i upale
Podzwrotnikowym — bezgraniczny wszędzie.
. . . .
Jam ciebie zawsze kochał, Oceanie,
Było to mojem weselem dziecinnem,
Gdym się kołysał na twem łonie płynnem.
. . . .
Bom się za twoje poczytywał dziecię,
Bo do fal twoich miałem zaufanie,
Bliskich i dalszych i śmiało po grzbiecie,
Głaskałem ciebie zawdy, Oceanie.

Ale cóż, kiedy „życie jest kłamstwem przeciw przyrodzie, z jej harmonijnym ustrojem w niezgodzie“ dodaje dalej poeta, uczeń i wielbiciel Rousseau'a. Obcowanie z naturą łagodzi „ból istnienia“, ale go nie leczy. Można uciec przed ludźmi, można zerwać więzy społeczne — nie uwolni nas to jednak od pęt, nałożonych przez konieczność, od przekonania o naszej nicości, od współczucia z cierpieniami i nędzą człowieczego rodu. Na ten temat, — który obrobiony został specyalnie w „Manfredzie“ i „Kainie“ — filozofuje Byron niemało i w „Childe-Haroldzie. Jeżeli mówimy „filozofuje“, nie znaczy to, żebyśmy przeceniali zdolności filozoficzne autora „Wędrówek“. Na tym punkcie stał niżej od Göthe'go, Shelley'a, a nawet Słowackiego. Byron nie był filozofem — metafizykiem we właściwem tego terminu znaczeniu, lecz był filozofem-moralistą i filozofem poetą. Nie wytworzył on skończonego poglądu na całość istnienia, ale zgłębił wewnętrzną treść realnego życia ludzkiego i umiał uogólniać swoje osobiste uczucia i wrażenia, zamieniając je na szerokie i potężne symbole, działające z równą siłą na wyobraźnię jak i na rozum czytelnika.

Co prawda, to symbolami posługiwał on się głównie w dramatach, w „Childe-Haroldzie“ ubierał swoją myśl w formę bardziej bezpośrednią i prostszą, t. j. wygłaszał rodzaj maksym i refleksyi o naturze ludzkiej, życiu, sztuce itp. Wogóle jednak zdawał się odczuwać pewien brak siły plastycznej, nie pozwalający mu uzmysłowić wszystkiego, co czuł i myślał (III, 97).

Gdybym odsłonić mógł, gdybym wywołał,
To co jest we mnie ukryte i zdołał,
Myśli me w głośnej wypowiedzieć mowie
Tak, iżby wszystkie duszy mej pragnienia
Wszystkie uczucia i wszystkie marzenia
W jednem potężnem zawarły się słowie,
Mającem błysku moc piorunowego
Tobym przemówił. Niestety bez tego
Żyję i umrę nigdy nie słyszany
Z myślą, jak oręż w pochwie wciąż trzymany.

W twórczości Byron'a zajmuje Childe-Harold bardzo poważne miejsce. Dwie pierwsze pieśni stały się fundamentem jego sławy, w dwóch ostatnich zawarł tyle obrazów, myśli, oraz subjektywnych, a nawet wprost autobiograficznych wynurzeń, że bez dokładnego zapoznania się z tym utworem niepodobna zrozumieć Byron'a. Dla tego każdy dobry przekład tego poematu jest i

[3] I i II p. CH. H. wyszła w roku 1812. III — w r. 1816, IV — 1818.

TAKŻE EWANGIELSTKA.

Sylwetka petersburska.

Nasz profesor literatury był z pewnością bardzo zacnym człowiekiem; a był on tak malutki i tak okrągły, że adoratorki jego, przypisując mu w braku wpływu naukowego „ogromny“ wpływ moralny, nazywały go „samem sercem“. Rzeczywiście, było to chyba najlepsze z serc, bijących pomiędzy dwoma garbami. Pozwalało mu ono wierzyć, że bracia słowianie, pozostawieni samym sobie, chwyciliby natychmiast dawne zarzucone gęśle i śpiewając rytmy bojanowe, wędrowaliby po swych szczerych polach, goszcząc się i miłując się wzajemnie, aż zwiastowaliby wreszcie światu „nowe słowo“ swej rasy, rozpoczynające erę prawdy i dobra dla całej ludzkości.

Tak idealny nastrój wykładów musiał naturalnie unosić i słuchaczy w jakieś empireje, a więc i moje oczy pięły się zwykle w górę, błądząc wśród bogatych stiuków olbrzymiego plafonu, wśród misternych łodyg floresowych, wśród białych zwojów panoszących się wiecznie akantusów. Zdecydowawszy się raz nie słuchać profesorskiej idylli, żeby się nie kompromitować koniecznem poziewaniem, miałam dosyć czasu na mierzenie wzrokiem obszernej przestrzeni i jej różnorodnych zawartości. Zmęczywszy źrenice na suficie, spuszczałam je na twarze realnych słowianek i niesłowianek zresztą, zajmujących kilkusetnym zastępem żółte szeregi ławek.

Jakież to były twarze?

Strach pomyśleć, doprawdy! Bo nie będę przecież ukrywała, że była to jedna z tych szkół nieszczęśliwych, których pokoje zowią się audytoryami i laboratoryami, nauczyciele — profesorami uniwersytetu, a uczennice — stu-dent-ka-mi! To też wśród murów tych padają nieraz słowa: tlen i azot; akcya i reakcya! Szekspir i Dante! rewolucya i restauracya! a nawet — siła i materya! I setki uszu kobiecych temu się przysłuchuje.

O właścicielki uszu, dużych i małych, białych i różowych, a jednako narażonych na słuchanie tych horendów, jak wy wyglądacie?

Chcę być bezstronną, lecz, niestety, zaczynam się domyślać, że duch-patron koleżeństwa uzbroił moje oczy w zwodnicze okulary; bo widzę najwyraźniej między wami pulchne policzki, różowe usta, zgrabne, figlarne noski, wcale ładne oczka kolorów rozmaitych — a tymczasem któż nie wie w nasze czasy, że koście waszych twarzy obciąga pargamin starych rękopisów, że spłowiałość waszych oczu ukrywacie pilnie pod okularami, że blade wasze wargi są tak zaciśnięte, jak u siedmdziesiątletniego profesora, „obcinającego“ was na egzaminach. Ale cóż ja poradzę z podstępem moich okularów? Będę już je chyba nosiła aż do końca życia, jak nosił swoje ów pożałowania godny duńczyk Kirkegaard, chociaż jedno z jego szkiełek ukazywało mu świat i ludzi w imponujących rozmiarach, a drugie sprowadzało wszystko do stopnia nędzy wyjątkowej.

— A, jest: twarz blada, ale z dwiema ceglastemi plamami pod oczami, oczy naprawdę bardzo wypłowiałe, lecz okularów niema, choć być powinny, wargi szerokie i nie nadto blade, lata nieokreślone, a twarz, właściwie mówiąc, także nieokreślona.

Tak sobie mówię, obserwując w duchu osobę, siedzącą na jednej z ławek środkowych i nagle przypominam sobie, że to jej właśnie spojrzenie ołowiane czuję na sobie od dni kilku. Co prawda, nie sprawia mi to wcale przyjemności, mam zbyt dobry gust, aby nie wiedzieć, że rezultaty tak upartej obserwacyi nie mogą wypaść dla mnie nader pocieszająco. Ot, patrzy i teraz, lecz co jej właściwie do tego, że mój nos jest tak nieklasyczny, że włosy nigdy nie chcą ułożyć się przyzwoicie i że nie mogę się zmusić do słuchania profesora X? A może to właśnie jego zwolenniczka i chce się tylko przekonać, o ile mię roztkliwia „bohater ludu“ *Ilja Muromiec*, a odwrotnie oburza groźny przeciwnik jego, *Złój cariszcze*, *Kaliniszcze*.

Zaczynam jednak słuchać mimowoli i przekonywam się od od razu, że się dzieje coś nowego, niezwykłe jakieś akcenty lecą

będzie pożądany, Mówimy „będzie“, gdyż aczkolwiek włącznie z omawianym istnieją już cztery całkowite tłómaczenia „Wędrówek“ Childe-Harolda“, a każde z nich posiada pewne i często niemałe zalety, nie wyczerpują one całkowicie „duszy“ poematu.

Każdy z tłomaczów, jak to zwykle bywa, gdyż być *musi* — zwracał mimowoli uwagę na to, co pociągało jego indywidualność, akcentował zaś słabiej te strony utworu, z któremi go nie wiązała sympatya duchowa. U Budzyńskiego naprzykład dobrze oddany został szlachetny, patos, przenikający poemat. Praca pana A. A. K. znowu odznacza się niezwykłą dokładnością przekładu, a zarazem jasnością wysłowienia. Tej ostatniej zalety brak miejscami, pięknemu wogóle tłomaczeniu znanego poety Jana Kasprowicza, który wyraża się niekiedy w spo sób nieco zawiły. Właściwość ta, którą odnajdziemy i w utworach orginalnych Kasprowicza, da się w tym wypadku wytłomaczyć trudnościami formy. Kasprowicz był jednym z dotychczasowych tłomaczów, który się pokusił — i dodać należy z powodzeniem — o naśladowanie trudnej, t. zw. spencerowskiej strofy orginału. Strofa ta składa się z 9 wierszy o 3 rymach krzyżujących się w sposób następujący: *a, b, a, b, b, c, b,* c, c. Oto przykład, wyjęty z pracy Kasprowicza:

Gdybym, co we mnie największego gości,
Mógł odziać w ciało i wyrzucić z łona;
Gdybym dla myśli uczuć, namiętności,
Dla serca, duszy — silna, czy zwątlona
Gdybym dla tego, k'czemu dąży ona
Co znosi, czuje, zna, a przecież żyje,
Miał jedno słowo — piorun: myśl zrodzona
We mnie, byłaby, jak ten grom, co bije
I ja nie byłbym mieczem, który pochwa kryje.

Też samą strofę (III, 97) podaliśmy wyżej w przekładzie pana A. K. K., który nie trzymał się orginału ani w układzie ilości rymów, ani zmianach długości wierszy. Szemat tej strofy u omawianego tłomacza przedstawia się tak: a, a, b, c, c, b, d, d, nie został przeprowadzony stale przez tłomacza: trafiają się strofy normalne (9 wierszowe) i 14 wierszowe (IV 97 str. 183) o siedmiu rymach krzyżowanych tak: a, b, a, b, c, d, c, d, e, f, e, f, g, g. Słowem, jak widzimy, p. A. A. K. poświęcił ścisłość formalną, dla ścisłości myślowej, oraz wyrazistości wykładu. Tak zawsze bywa: każdą zaletę trzeba okupić jakąś ofiarą.

Dla pokazania, jak różnie jeden i ten sam ustęp może być oddawany przez kilku świadomych swej działalności tłomaczów przytoczymy jedne strofę słynnego pożegnania Childe-Charolda.

Mickiewicz przełożył ją w ten sposób:

Teraz po świecie błądzę szerokim
I pędzę życie tułacze,
Czegoż mam płakać? za kim i po kim?
Kiedy nikt po mnie nie płacze?
Pies chyba tylko zawyje zrana
Nim obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego dawnego pana
Wściekłą powita paszczęką.

Pan A. A. K. dał tej strofce następującą formę:

Teraz na świecie jestem sam,
Na wód niezmiernej toni;
Za kim tu wzdychać, gdy mnie tam,
Westchnieniem nikt nie goni!
Zaskomli pies po panu swym,
Nim obcą karmion ręką,
Mnie kiedyś za powrotem swym
Napadnie ostrą szczęką.

U Kasprowicza ustęp ten wygląda tak:

Na świecie dziś sam, jestem sam,
Śród tych bezmiernych fal,
Cóż żalić się po innych mam,
Gdy po mnie zginął żal?
Może mój pies nie przestał wyć,
Lecz z obcych jedząc mis,
Gdy wrócę znów by w domu żyć,
I on mnie będzie gryzł!

Orginał zaś brzmi jak następuje:

And now I'm in the world alone,
Upon the wide, wide sea;
But why shalla I for others groan,
When none will sigh for me?
Perchance my dog will whine in vain,
Till fed by stranger hands
But long ere I come bac again
He'd tear me where he stands.

Najdalej i od formy i od treści orginału odbiegł, zwłaszcza w pierwszym czterowierszu, Mickiewicz, który parafrazował tam właściwie, nie tłomaczył Byron'a. Najbliższym treści jest pan A. A. K., najdokładniej zaś oddał budowę strofu Kasprowicz. Słowem jeden tłomacz dopełnia drugiego.

Ignacy Matuszewski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

LEON SAY,

(ur. 1826 roku, umarł 21-go kwietnia 1856 roku).

Zasługi przodków utorowały drogę Say'owi i pozwoliły mu pozyskać rozgłos po nad wartość własną. Książki, które po nim pozostały, minęłyby niepostrzeżenie, gdyby nie to, że wyszły z pod pióra dziedzica wielkiego imienia.

Dynastya Say'ów od trzech pokoleń pracuje we Francyi w zakresie teoryi ekonomicznych. Dziad spopularyzował dzieło Adama Smitha, jędrnym a filozoficznym dociekaniom wielkiego ekonomisty angielskiego, nadając lekką, powabną i zarazem płytką postać. Dzięki Janowi Babtyście Europa dowiedziała się o nowej doktrynie. Czem przed paru dziesiątkami lat był Haeckel dla darwinizmu, tem pierwszy z dynastów dla rozwoju poglądów ekonomii klasycznej, które zresztą pod jego dotknięciem zamieniają się na świadomie klasową doktrynę. Szkoła klasyczna przechodzi do pospolitej. Były to we Francyi czasy panowania jeszcze szczątków merkantylizmu. Say, dziad daje początek prądowi wolnego handlu i zostaje jednym z największych jego rzeczników w swojej ojczyźnie. Syn, Horacyusz, trzyma dalej sztandar manczesteryzmu, ale przyszedłszy na świat w czasach innych, gdy krytyka zaczęła sprawdzać zasadnicze twierdzenie szkoły, jest jeszcze płytszy: ślizga

---

ku nam z wysokiej katedry, znikł gdzieś bez śladu ów nieznośny patos, nadający pozór nieszczerości najszczerszym uczuciom profesora, natomiast głos jego wzbiera niewstrzymanem oburzeniem, drży gniewem, czarne oczy płoną jak żużle wśród pobladłej twarzy, nerwowa ręka zaciska się kurczowo. Mały człowieczek wyrasta tu w oczach, jak sam Ilja Muromiec, bo, jak słyszę, porwał się i on też na olbrzyma, i to na olbrzyma swej ojczystej historyi, na racyonalistę i „utylitarystę“ na Piotra wielkiego.

A pozywał go przed sąd nie za żadne przedawnione winy, lecz za „zło aktualne, obejmujące i dzisiejsze społeczeństwo“ a mianowicie za „uśmiercenie kościoła rosyjskiego, wskutek poddania go pod absolutną władzę państwa i jego przedstawiciela“.

— Tak, nie łudźmy się wcale, dzięki to jemu właśnie kościół nasz prawosławny martwy jest oddawna i wszystko, co żyje w nas duchem, a nie literą wyrzeka się go i spieszy się zaciągnąć pod rozmaite sztandary, nie oglądając się na żadne rozkazy i ukazy!

Sympatyczny szmer przelatuje długie szeregi ławek, w powietrzu drgają szczególne jakieś wiewy, profesor przejęty do głębi, tem co mówi, potrąca i wśród słuchaczek wtórujące mu struny; a struny te bardzo rozmaite.

Ot ta naprzykład drobna, smagła dziewczyna z ascetyczną duszą, nizko chyląca główkę w tej chwili, boleje do głębi nad tem, co słyszy i marzy z pewnością o przyszłem odrodzeniu się swej religii.

Tam znowu oceniają słowa profesora z punktu widzenia czysto historycznego, a tutaj poruszone są szczerością i odwagą, z jakiemi się wyraża o rządzie i jego kościele; słowem podniecenie ogólne zapanowało na sali, które się wzmogło jeszcze na odgłos dzwonka, kładącego tamę podniecającemu wykładowi.

Rozsypawszy się małemi grupami po kwadratowej sali rekreacyjnej, słuchaczki dzieliły się już swobodnie świeżemi wrażeniami, komentując pojedyńcze ustępy prelekcyi.

Stałam właśnie w małem kółku koleżanek, trzymających się zwykle razem, gdy nagle ujrzałam przed sobą ową osobę z ceglastemi plamami, które teraz znacznie się powiększyły na górnej części jej twarzy.

— Nieprawdaż, rzadko się zdarza usłyszeć w naszych czasach, tak wspaniały wykład a zwłaszcza tak śmiały i nie liczący się z niczem! Ale bo też my, Rosyanie, umiemy znakomicie krytykować siebie i czynimy to zawsze z jakąś specyficzną, bolesną rozkoszą. Co do mnie, nie straciłam wcale tego rodzaju wrażliwości, chociaż dawno już żyję na tym smutnym świecie i pamiętam niemało prądów rozmaitych, ogarniających naszą inteligencyę.

Mówiąc to, patrzyła kolejno na nas wszystkie, przenosząc bystro wzrok z jednej na drugą, a nie słysząc tymczasem żadnej odpowiedzi, zwróciła się wreszcie do S—cz, najbliższej mojej sąsiadki.

Jeżeli się nie mylę, spotykałam panią u państwa E—ów?

— Tak, przypominam sobie, ale teraz już oddawna nie widziałam tam pani.

— O, są to bardzo zacni ludzie, ale zdaje mi się, że skamienieli na tem stanowisku, na które weszła inteligencya nasza kilkanaście lat temu. I mnie się wówczas zdawało, że nigdy już zeń nie zejdę, i ja też latałam patrzeć, jak profesor Sieczenow kraje żaby i święcie wierzyłam, że chemia i fizyologia rozwiążą nam wszelkie zagadki, i że już wkrótce *viendra le jour, où l'humanité ne croira plus, elle — saura.* Ale długo to trwać nie mogło; przekonałam się wreszcie, że na pytania moje nauki te nie dadzą wcale odpowiedzi, że każą tylko czekać faktów, nowych faktów, a dusza czekać faktu nie chce i nie może...

Mówiła to z półuśmiechem, rzucając na nas zmieszane jakieś, pytające spojrzenia. Plamy na jej twarzy stały się jeszcze jaskrawsze, lecz sama twarz ta była tak nieruchliwa, że nawet wzniesiona w tej chwili fala uczuć nie odbiła się na niej żadnym nowym wyrazem; dla tego też może słuchałam obojętnie niespodzianej spowiedzi.

Pani, zdaje mi się, jest z Warszawy? — zagadnęła mię nagle.

— Nie z Warszawy wprawdzie, ale Polką jestem.

się po powierzchni zjawisk ekonomicznych i zrywa z klasycyzmem, który zbyt szorstko, t. j. szczerze rozpatruje zjawiska. Wnuk, Leon, należał do tego grona mamutów we Francyi, którzy na wszelkie niedomagania narodowe mieli jedno tylko lekarstwo: wolną konkurencyę! Szedł on w jednym zastępie z F. Passy'm i innymi i walczył przeciw reformom, pąwściągającym nadużycie plutokracyi. Może nie było zacieklejszego i komiczniejszego przeciwnika upaństwowienia kolei żelaznych. Reforma ta była czemś strasznem dla Say'a, wstępem do upadku cywilizacyi i powrotem barbarzyństwa! Projekt postępowego podatku od dochodów, który usiłował nadać powinnościom podatkowym obywateli kraju słuszniejszą podstawę, uchodził w jego oczach za zamach na świętość własności prywatnej; więc w przededniu skonu zbijał zamiary rządu w pewnym dzienniku. Duch czasu wcielił się w paru drobnych dodatkach do doktryny ojca i dziada, przedewszystkiem zaś w platonicznem uwielbieniu samopomocy kooperacyjnej. — Wraz z Say'em ubywa jeden z ostatnich mamutów ekonomii pospolitej, która tyle zniszczyła talentów i zużyła dowcipu na utrwalenie w nauce tylko sofizmatów. Nowe pokolenie ekonomistów francuzkich hołduje innym ideom: względności i historyczności.

W polityce Say był tem samem, co w ekonomii, mianowicie rzecznikiem interesów plutokracyi. Prowadził on układy z domem Rotschildów o udzielenie pożyczki na kontrybucyę wojenną r. 1871, uczestniczył we wszystkich reformach skarbowych. Senator od lat przeszło dwudziestu, przedstawiał w izbie wyższej ów kierunek, przed którym świeżo kapitulował Bourgeois. W zakresie ekonomii płytki popularyzator tego, czego w tak utalentowany, choć zwodniczy sposób bronili Bastiat i inni, w polityce obrońca interesów wielkiego kapitału spekulacyjnego, w życiu umiejętny robigrosz, odznaczał się nadto oportunizmem barwy umiarkowanej.

Z.

BADANIA NAUKOWE.

Buddha i Chrystyanizm.

Nad niezliczoną tłuszczą hord azyatyckich, co paląc i pustosząc, niosą zagładę prastarym zabytkom cywilizacyi europejskiej, unosi się groźna postać Buddhy. Oto treść obrazu cesarza Wilhelma II — znana czytelnikom „Przeglądu", a budząca swego czasu tj. kilka miesięcy temu, ze względu na dostojnego autora i przeważnie na treść samą żywe zainteresowanie prasy i ogółu.

Dla czego nadał autor Buddzie tak nieprzyjazne dla nas stanowisko? Dla czego uczynił go bożkiem zniszczenia i zagłady?... Czyżby Buddha dzielił los wszystkich wielkich założycieli sekt religijnych — czy wieki wykrzywiły oblicze jego?

Na indeksie papieskim znajduje się broszura pewnego katolika, nosząca tytuł „Podróż do Tybetu". Otóż znajdujemy w niej rzeczy wprost zdumiewające. Lamowie tybetańscy posiadają spowiedź, różaniec, tonsurę, egzorcyzm, celibat — mają swych świętych, litanie, wodę święconą i wiele innych obrzędów kościelnych, wspólnych religii katolickiej. Wszystko to osądziła hierarchia katolicka za szatańską parodyę — złośliwie wymyśloną bajkę. A jednakże fakta niezbite świadczą o tem, iż zwyż wymienione urządzenia kościelne posiadał buddhyzm znacznie rychlej niż je miał Kościół Chrystusowy. Lecz jak nie można identifikować obrządków rytualnych i praktyk społecznych pewnych wyznań z tendencyą ich założycieli, tak i późniejszy Kościół tybetański uważać należy poniekąd za wykrzywienie pierwotnej nauki Buddhy. Więc gdybyśmy nawet przyznali, że ta i owa z późniejszych form rozwojowych Buddhyzmu, zagrażać może „najświętszym skarbom ludów Europy", to sam Buddha bezpośrednio nie jest żadną miarą owym duchem zniszczenia, unoszącym się nad gruzami cywilizacyi zachodniej.

Prawda historyczna żąda, by tego mędrca wschodu oczyścić z zarzutów, bijących z cesarskiego obrazu. Bo jak każdy potężny umysł jest światłem, przenikającem ciemności nocne, — tak i Buddha rozlał swe promienie świetlane na ludy azyatyckie.

Być może, iż nie on sam wzniósł Buddhaizm, jakby to z nazwy przypuszczać można, do znaczenia potężnej religii, — bo jak wiadomo, zasługi i zdobycze kilku pokoleń lubimy przypisywać jednemu generalnemu osobnikowi, — jednakże bądź co bądź, nikt mu chyba tej zasługi nie odmówi, a wszystkie rozproszone idee, spoczywające na dnie umysłów swego pokolenia, on jak w soczewce ześrodkował i w czyn obrócił.

Z tego to powodu winniśmy uważać Buddhę jako bohatera, oswobodziciela z cielesnej i duchowej niewoli. Chrystyanizm zwłaszcza winien mu oddać tę sprawiedliwość, bo z religią jego zdumiewająco pokrewne łączą go węzły. Nawet założyciele obu religii posiadają — przynajmniej w barwach legendy — tyle cech wspólnych, iż zdawać by się mogło, że to dwaj bracia rodzeni, z których jeden pełni swe posłannictwo na Wschodzie, drugi na zachodzie. Lecz i w pierwotnych swych kształtach, o ile kontury ich jeszcze rozpoznać można, zbliżają się ku sobie, a nie należy tu pominąć szczegółu, iż Buddha 600, a przynajmniej 500 lat starszym jest od Chrystusa; żył współcześnie z siedmiu mędrcami greckimi i starszym jest niewątpliwie od Sokratesa.

Profesor uniwersytetu lipskiego R. S e y d e l wykazuje nam w jednej z swych rozpraw krytycznych, jak podpadająco zbliżoną jest legenda Chrystusowa do legendy Buddhy. Według niej Buddha jest bóstwem, którego słowem żywią się zastępy świętych i aniołów w niebie. Mieszkańcy niebios wypraszają u niego łaski dla ludzi, błagając by także o ich zbawieniu pomyślał. W postaci młodego białego słonia przechodzi Buddha w ciało przeczystej królowej Mayi, żony króla Suddhodana, którego państwo Kapilavastu rozciąga się u podnóża góry Nepal. Kapłan bramiński przepowiada młodej królewnie: „Napełnioną zostaniesz najwyższą radością albowiem porodzisz syna, a członki jego zdobić będą szczególne znaki, — szlachetną latorośl królewskiego rodu, najszlachetniejszego z wszystkich królów. A skoro on z miłości

---

— Wie pani, w najdroższych moich wspomnieniach, wspomnieniach wczesnej młodości, plączą się ciągle echa od zachodu, smutne echa od Warszawy i Wilna... O, bo wtenczas żyliśmy wszyscy inaczej, niż dzisiaj żyjemy, rozumieliśmy wiele rzeczy takich, które teraz odzwyczailiśmy się rozumieć.

— Wogóle mówiąc, tak jest w istocie, znam jednak i teraz ziomków pani, którzy nie zapomnieli o niczem, którzy czują i myślą o nas z równą sprawiedliwością, jak myśleli zapewne w młodości.

— No tak zapewne ma pani na myśli niedobitków z redakcyi *Otieczestwiennych Zapisek* i im pokrewnych kółek; znam i ja ich dobrze, wszak to są towarzysze pracy nieboszczyka mego narzeczonego. Niestety, są to tylko wyjątki nawet wśród ludzi starszego pokolenia; co zaś do naszej młodzieży, to część jej przeważna myśli wyłącznie o karyerze, część zas, niby lepsza, ignoruje rozmyślnie kwestye narodowościowe, a nawet polityczne, w ścisłem słowa tego znaczeniu. My wierzyliśmy w fizyologię — oni czekają zbawienia od ekonomii politycznej. Wszystko, co nie ma związku z dobrobytem materyalnym społeczeństwa, wydaje im się marnem, przestarzałem głupstwem, nad którem co najwyżej litować się można.

Odgłos dzwonka, dawno już rozlegającego się po korytarzach, przerwał naszą rozmowę; spieszyłyśmy, ażeby przed bardzo uczęszczanym wykładem tej samej właśnie ekonomii politycznej, znaleźć jeszcze jakie miejsca. Półroczne repetycye miały niebawem nastąpić, a gorliwość nasza tem zrozumialszą była, że profesor J—son słynął ze swej bezwzględności.

Znalazłszy się w jakimś kącie wraz z nieodstępną S—cz. spytałam ją, skąd z a naszą oryginalną interlokutorkę i jakie jej jest nazwisko. Z trzystu koleżanek tego samego kursu wydziału hist. fil. znałam sama zaledwie kilkadziesiąt.

— Nazywa się N owa, spotkałam ją parę razy w poważnym domu redaktora E—wa, gdzie była dobrze widzianą jako ex-narzeczona jego współpracownika i znakomitego pisarza P. Z tego tytułu ma ona podobno dość rozległe stosunki w postępowym świecie literackim, chociaż od pewnego czasu rzadziej się w nim pokazuje, wskutek, jak powiada, różnicy w przekonaniach i nowych prądów, w których się nurza obecnie.

— Są to zapewne prądy najmodniejsze. Może i ona też w orszaku Tołstoja, lub Wł. Sołowjewa pielgrzymowała do kostrowskich lasów, do optjeńskiej pustelni.

Tego nie wiem, przypuszczam jednak, że szczerą jest w tych wahaniach; — nie może to być przecież osoba bez wartości, skoro była narzeczoną....

— Ciągle słyszę o tem narzeczeństwie, lecz cóż jej przeszkodziło wreszcie stać się szczęśliwą małżonką?

— O, ignorancyo, czyż nie znasz tej historyi, zakończonej ciężką chorobą beletrysty i śmiercią właśnie na jej ręku?

— To smutne. Ale znakomity pisarz nie był z pewnością świetnym estetykiem, bo doprawdy nie wiem, czem go ona sobie ujęła.

— To już kwestya gustu, a powtóre ileż to lat przeszło; wszak ona już z pewnością *frise la quarantaine.*

Wejście profesora przerwało naszą rozmowę.

Tego dnia nie widziałem się już więcej z N—ową, ale w ciągu dni następnych rozmawiałam z nią parę razy. Nie miała ona, zdawało się, żadnego kółka poufnego, jak to było u nas we zwyczaju, lecz znała się z grupami rozmaitemi, zacząwszy od arcy-wykwintnych panien, a skończywszy na jakimś rudymentalnym okazie nihilizmu, przybyłym z pewnością do stolicy z najodleglejszych kresów wschodu, czy południa.

Pani ma, zdaje mi się, bardzo wiele znajomych — powiedziałem jej kiedyś.

— Tak, dosyć, bo też zgodzi się Pani, że to kobiece społeczeństwo nasze jest bardzo zajmujące, a wśród półtoratysięcznej rzeszy rozmaitość musi być ogromna. Patrz Pani, ta młodziutka, rezolutna dziewczyna, wychowywana przez brata, mając lat dwanaście, już czytywała z nim Büchner'a, a ta tu na prawo, córka znakomitego ministra, występuje właśnie z naszego zakładu, żeby się stać siostrą miłosierdzia gdzieś w szpitalach Turkiestanu.

dla wszechświata porzuci uciechy, królestwo i miasto swe, i wolny od pożądań wstąpi w stan świętobliwy, godzien będzie, iżby mu z trzech światów czyniono ofiary. Zwan będzie Buddha, a świat cały napełni weselem, dając mu nieśmiertelność“. Przy narodzeniu Buddhy ukazują się na niebie różne znaki, bogowie, króle i kapłany przynoszą mu dary, a zastępy wojsk niebieskich śpiewają: Ustało zło wszelkie, świat napełnion błogością, szczęśliwość utrwalona w wszechświecie, albowiem narodził się zbawiciel“.

Pewien bramin głosi prorocze słowa: „Dziecko to stanie się Buddhą — zbawicielem i wieść będzie do nieśmiertelności, wolności i światła“. — Dwunastoletni Buddha zabłąkał się razu pewnego w lesie; po długim szukaniu odnaleziono go wreszcie pod drzewem w otoczeniu uczonych pisma św. i zagłębionego w poważnej medytacyi. — Gdy Buddha dorósł opuszcza królestwo swoje i żonę młodą, by w samotności i wyrzeczeniu się wszelkich uciech światowych znaleźć prawdziwe szczęście. Nie wystarcza mu mądrość braminów, a szatanowi kuszącemu go zrazu groźbą, a następnie obietnicą panowania nad całą ziemią, odpowiada: „Danem mi jest królestwo, lecz nie z tego świata, zwę się Buddha i świat cały napełnię radością“. Potem siada pod drzewem figowem i tu zstąpiła na niego najwyższa światłość: rozpoznanie łańcucha przyczyn i skutków. Tę chwilę święci ziemia cała: kwiaty zakwitły, owoce dojrzały — wszystkie szczeliny i przepaście, które dotąd nie ujrzały promienia siedmiu słońc, światłością się wypełniły; ślepi widzieli, głusi słyszeli, pęta i okowy opadły. Pod drzewem figowem zdobywa Buddha pierwszych wyznawców, — pierwsza jego nauka to błogosławieństwa: „Błogosławiona samotność szczęśliwego, co prawdę poznał i widzi, — błogosławiona niezależność od złego — błogosławione usunięcie się od wszystkiego, co żyjącem jest, i błogosławionem wyrzeczenie się wszelkiej rozkoszy - pokonanie żądz i pragnień — wzniesienie myśli ponad swoje „ja“ — zaprawdę to jest najwyższa szczęśliwość“.

Ten czas przygotowawczy jak i działalność sama uderzająco przypomina życie Chrystusa. Buddha gromadzi w koło siebie uczniów — jest ich dziesięciu czy nawet dwunastu - a między nimi również znajduje się zdrajca. W szczególniejszej pieczy ma ubogich i wzgardzonych. „Radością chcę napełnić wszelkie stworzenie, którego członki omdlałe są“. Temi to słowy charakteryzuje swoje zadanie. Przekłada biedną grzesznicę, słaniającą mu się do nóg i wsłuchaną w nauki jego, nad możnych i dostojnych. Jego uczeń przemawia do niewiasty, należącej do najniższej kasty społecznej temi słowy: „Nie pytam o twe pochodzenie, rodzinę, siostro moja“, a Buddha przyjmuje ją do zakonu swego. Buddha jest wszechmocnym, wszystko przeniknął i poznał, przed nim ustępują fale morskie, niezliczone są cuda jakie tworzy. Na schyłku życia swego udziela rozlicznych nauk uczniom swoim i przepowiada im prześladowania i zniewagi, lecz przyrzeka, iż mieć ich będzie w swej pieczy, że będzie wśród nich, choć go widzieć nie będą, że na górze ukaże się wyznawcom swoim. Na krótki czas przed śmiercią dziwną jasnością promienieje ciało jego.

Przeżył lat 80, — w chwili jego zgonu dzieją się tak samo, jak przy śmierci Chrystusa — cuda i nadzwyczajne zjawiska. Ziemia zatrzęsła się w swoich posadach, spadł meteor, obydwa bieguny stanęły w płomieniach, rozległ się straszny odgłos piorunów.

Wreszcie znajduje się jeszcze jeden szczegół w tradycyi, przypominający uderzająco według prof. Seydla, zesłanie Ducha św. w czasie Zielonych Świątek. „Wieczór piękny i pogodny, jak młode dziewczę, gromadzi słuchaczów na pierwsze kazanie Buddhy. Bogowie spieszą gromadnie — niebo i wszechświat się opróżnia i wszystko zlewa się w jednę niezliczoną rzeszę i słucha proroka jak morze bez bałwanów. I każden z nich sądził, iż mędrzec mówi doń jego własnym językiem, lubo był to dialekt magadhajski“. Najważniejszem jest to, że wszystkie powyżej przytoczone szczegóły tradycyi utrwalone były w pismach Buddhajskich, zanim Chrystus zstąpił na ziemię. Chcąc jednakże w legendach o Buddzie odkryć historyczne jądro, napotykamy wiele trudności. To też usiłowano dowieść z wielką zręcznością, iż cała legenda o Buddzie jest tylko mitologiczną alegoryą. Buddha wyobrażać ma słońce, przykazania jego światło, osoby, które spotyka, gwiazdy, Nirvana — zachód słońca, a ród Sakya odpowiadać ma Hunom i Nibelungom w germańskich „Sagach“. Lecz chociażby legenda o Buddzie utkaną była z wielu mytów o słońcu, to jednakże przypuścić trudno, by w nich zupełnie pomieścić się mogła, choćby i przez wzgląd na to, iż trudno wpleść niektóre bardzo stare informacye buddhystycznego kanonu w ten mytologiczny szemat. Powtóre wierzyć w to niepodobna, że wszystkimi buddhyjskimi pisarzami, którzy pracowali nad kanonem, powodowała jedna wspólna zagadkowa ambicya, by swym wierzącym czytelnikom podać same tylko astronomiczne orzechy do gryzienia. Wypada raczej przypuścić, że przynajmniej główne zarysy legendy są historyczne. Według nich był Buddha synem jakiegoś króla północnych Indyi i nosił początkowo rodzinne swe nazwisko Sakya lub nazwisko swego szczepu Gautama. Nazwa Siddhartha („ten, co dopiął celu“) sięga dopiero późniejszych czasów.

Szczegóły, tyczące się młodości jego, mogą być wytworem poetyckiej fantazyi, — lecz jego zamiar usunięcia się od świata stwierdza fakt, iż późniejsze jego życie było żebracze i pustelnicze. Również i to zdaje się nosić cechę prawdopodobieństwa, iż doszedł do przekonania, że nauka Braminów nie zdoła odjąć ludziom obawy przed cierpieniem, starością i śmiercią. Początkowo, według podań historycznych, nauczał w starem indyjskiem siedlisku mądrości Benarse, następnie w Magadha, nakoniec w mieście Kosala. Śmierć jego przypada prawdopodobnie na rok 480 przed Chrystusem. O działalności nauczycielskiej Buddhy nie ma w podaniach historycznych całkowitej zgodności, a mianowicie stosunek jego do nauki Braminów stanowi kwestyę sporną. Oto co mówi Max Müller: „Kiedy młody książę gromadził w koło siebie ludzi, należących do najrozmaitszych kast społecznych, i zaczął w dysputach publicznych zwyciężać braminów, a ofiary, które im składano, osądził nietylko za zbyteczne, lecz nawet za grzeszne, — gdy miasto surowej pokuty i klątw, któremi karali bramini za najmniejsze prze-

---

Spojrzałam na trzydziestokilkoletnią pannę stojącą pod oknem i przypomniały mi się opowiadania o jej poprzedniej angliomanii a obecnej bigoteryi ultra-prawosławnej.

— Co do pani, ciągnęła dalej N—owa, to, wyznam otwarcie, że interesuje mię pani przedewszystkiem, jako jedna z przedstawicielek swojej narodowości, dla której zawsze miałam tyle podziwu i sympatyi. Zdaje mi się nawet, że my właśnie powinnyśmy brać przykład z Polek, bo jestem przekonaną, że Polki nie dadzą się nigdy ślepo unieść żadnemu prądowi, lecz potrafią iść w pewnym kierunku, dopóki się im będzie podobało i wezmą zewsząd to, co będzie najlepszego, nie tracąc nic ze swej czysto kobiecej indywidualności! A wieleż to bohaterek wydał ten wasz indywidualizm!

Mówiąc to, wyciągnęła do mnie jakimś niepewnym gestem dość zaniedbaną rękę i spoglądała przytem niby poufale, a tak zarazem trwożliwie, że mi się przypomnieli żebracy pewnej kategoryi, wyciągający wieczorem rękę ze słowami:

— *Błahorodnomu oficeru !* lub:

— *„Bywszemu studientu“!*

Nie mogłam się wprost opędzić temu wrażeniu, a dotykało mię ono tem przykrzej, że niepewność siebie, widoczne skrępowanie się N—wej, również jak jej częste pochlebstwa i komplementa, osobiste i nieosobiste, wydawały mi się niewytłómaczonemi w kobiecie niemłodej, mającej wyrobione stosunki w szerokich kołach petersburskich, ex-narzeczonej wreszcie słynnego pisarza.

Dawniejsza jej znajoma, S—cz, zagadnięta przezemnie kiedyś w tej kwestyi, niewiele też umiała mi powiedzieć.

— Może z natury jest bardzo nieśmiała, a może objawia się u niej w ten sposób brak równowagi umysłowej, bo często zmienia podobno koła, w których żyje, i co parę lat do nowych przyznaje się partyi, a że jest ich tu u nas bez liku....

— Więc jest ona stale *en marche, toujours en marche vers le progrès!* To przynajmniej konsekwentnie. Kończyłam właśnie te słowa, nakładając kapelusz w naszej garderobie, gdy niespodzianie stanęła przed nami N—owa we własnej osobie.

— Czy mi się tylko zdawało, czy panie wymówiły przed chwilą moje nazwisko?

— Tak w istocie, mówiłyśmy o pani i wogóle o rozmaitości kierunków wśród naszej inteligencyi, odpowiedziała jej S—cz, rumieniąc się po uszy.

— Zapewne i o tem, że i ja byłam zwolenniczką tej rozmaitości. Otóż obecnie wszystko się zmieniło. Z duszy łaknącej stałam się duszą ukojoną, znalazłam wreszcie szaniec mocny, od którego nic mię już oderwać nie zdoła, a gdybym paniom o nim opowiedziała, miałybyście wymowny komentarz do owego wykładu o martwocie prawosławnego kościoła i o dezercyi z pod jego sztandaru. Ale wychodzimy razem, zbliża się właśnie godzina nabożeństwa w naszej kaplicy, idę w tymsamym kierunku, co i panie.

Spojrzałyśmy na nią pytająco, zdziwione tą kaplicą i uroczystym tonem, lecz nie odpowiedziałyśmy ani słowa.

Szłyśmy jedną z szerokich, cichych ulic arystokratycznej dzielnicy Petersburga, wolną od szyldów, reklam, sklepów, lecz za to pyszniącą się wspaniałomi szeregami wielkopańskich pałaców.

- Gdybyście panie chciały, odezwała się wreszcie cicho N owa, z jakąś błagalną nutą w głosie mogłybyście wejść ze mną, a ręczę, że byłybyście mi wdzięczne za tę podniosłą chwilę, którąbyście tam spędziły.

— Lecz cóż to jest? — zapytała S—cz — nabożeństwo jakiejś arystokratycznej sekty? Paszkowców, Radstockistów, a może demokratycznych sztundystów?

— Ale cóż znowu, dla czego te właśnie sekty przychodzą pani na myśl? czy sądzi pani, że ich protestancki racyonalizm mógłby ukoić skołatane duchy mojego pokolenia? Co do mnie, wolałabym już z dwojga złego nasze oficyalne prawosławie.

Tempo jej głosu stawało się przytem coraz szybsze, ceglaste plamy rozlewały się coraz szerzej.

Żałuję bardzo, ale dziś sobota, śpieszę więc na pociąg, powiedziała S—cz, bo święta spędzam zawsze u matki w Peterhofie. Żegnam panie.

A pani? zwróciła się do mnie N—owa.

Stałam niezdecydowana.

(Dokończenie nastąpi).

winienie, żądał jedynie żalu za grzechy i przedsięwzięcia poprawy, wtedy to spełniło się dzieło większe niż może Buddha kiedykolwiek w najśmielszych rojeniach przypuszczał. On, co tylko miał na celu oswobodzenie ducha ludzkiego od nędzy i obawy przed śmiercią, rozwiązał pęta, uciskające lud indyjski, uwolnił go od tyranii kapłanów.

Już dawniej rozpowszechniła się opinia, jakoby Buddha przedarł siatkę, którą rozpostarli bramini nad ludem indyjskim, a choć Oldenburg usiłował dowieść, iż Buddha nie zajmował względem braminów nieprzyjaznego stanowiska, że bynajmniej nie nosił się z myślą radykalnego przewrotu stosunków w Indyach, że wogóle mylnego nabrano wyobrażenia o tyranii braminów, to jednakże bądź co bądź, jeżeli Buddhyzm przyczynił się do wtajemniczenia niższych warstw społecznych w rzeczy li tylko wiadome samym braminom, — to już to samo oznacza zerwanie z przeszłością. Prócz tego nauka mędrca indyjskiego przekracza zakres pojęć braminów, a przynajmniej stoi w przeciwieństwie do ksiąg Wedy. Moralność, na której Buddha oparł swoją naukę i według której żył, jest wzniosła i doskonała. Gdy poraz pierwszy pewniejsze wieści o etyce buddhyjskiej dotarły do zachodu, zapanowało ogólne zdumienie, a pewien pobożny chrześcianin pytał zdziwiony, jakim sposobem podobną doskonałość osięgnąć można bez objawienia boskiego. Bo też istotnie etyka nauki buddhyjskiej uderzająco przypomina etykę nauki Chrystusowej. Już Buddha przykazuje, by wzajemnie darowano sobie urazy, i dobrem za złe płacono. — Nauka o miłosierdziu, którą uważano za indywidualny rys chrześciaństwa znajduje się już w Buddhyzmie, bo i on za źródło wszelkich cnót poczytuje samarytańską miłość. W rzeczy samej zwyż wymienione przykazanie nie jest orginalną inwencyą Buddhyzmu, gdyż znajdujemy je już w naukach braminów, a Buddha ma chyba tę zasługę, że skoncentrował to wszystko, co niektórzy mędrcy dawniejsi uważali za moralne zadanie człowieka. Właściwa nauka Buddhy polega na tem, by wskazać człowiekowi drogę do wyzwolenia się z cierpień tego żywota. Zawartą ona jest w czterech prawdach. Pierwsza prawda mówi o powszechności cierpienia, którego przyczyny szukać należy w znikomości i we wszystkiem, co z niej czerpie swe źródło. Przeto możnaby uważać buddhyzm za religię pessymizmu, jeżeli w samem istnieniu już widzi cierpienie, buddhyzm jednakże znalazł środek za pomocą którego zwycięża cierpienie, zna bowiem drogę wiodącą do Nirwany, a w niej tkwi zwycięstwo nad bólem. Powód do pessymizmu ma według buddhystów tylko ten, co nie zna tej drogi, wiodącej do prawdziwego szczęścia.

Prawda druga usiłuje dociec właściwej przyczyny cierpienia — i dostrzega ją w pożądaniu uciech i chęci odrodzenia. Odrodzenie, t. j. wiara Indów w wędrówkę dusz, nie uległa w nauce Buddhy żadnej zmianie. Zmarły powraca znowu w koło życiowe, które jest dla niego jak i wogóle dla wszystkich ludzi bez wyjątku, a mianowicie dla tych, co nie należą do uprzywilejowanej kasty braminów, — pasmem bezustannych trosk i cierpień. Rzecz jasna zatem, że nauka Buddhy usiłuje oswobodzić człowieka od życia powtórnego. Kasta według niego nie stanowi różnicy — każdy człowiek bez wyjątku znaleźć może łatwy i pewny środek, by przerwać ten łańcuch niedoli i kres położyć odrodzeniu. Zatem prawda trzecia mówi o Nirwanie, co w dosłownem tłomaczeniu oznacza gasnący ogień lub zachodzące słońce.

Zwolennik Buddhy usiłuje najpierw zatracić wszelką świadomość istnienia, zagłębić się w jakimś śnie bez marzeń, a gdy wreszcie zdusi w sobie wszelkie żądze, gdy całkiem ograniczy się w swych potrzebach życiowych, wówczas cel osięgnął, jest to Nirwana, stan błogosławionych i zbawionych. Nakoniec czwarta prawda zawiera nauki o różnych ćwiczeniach, wiodących do upragnionego celu, a przeznaczonych głównie dla lajków. Należący do zakonu Buddhy mają odrębne obowiązki do spełnienia. Pierwsze miejsce między niemi zajmuje ascetyzm i intuicya, które wyżej nawet stoją niż czynna etyka. A dziwaczne są to po części środki, których używa Buddhysta, by popaść w stan Nirwany.

Ta nauka o wyzwoleniu się z cierpień stanowi słabą stronę buddhyzmu i obniża wartość jego wobec chrześcianizmu. Jądrem nauki Buddhy jest ucieczka przed światem, a nie przezwyciężenie świata. Buddhyzm pracą gardzi, a więc zezwala na zanik życia praktycznego, — jego cel to dążność do usunięcia się z widowni światowej, a wobec tego teoretyczna etyka w czyn się nie zamienia. Zapominać jednak nie wolno, że i chrześciaństwo błąkało się długo w ideach rezygnacyi i ascetycznej ucieczki z areny życiowej, że mianowicie zakres pojęć średniowiecznych zbliżał się do buddhyzmu. — Z drugiej jednak strony położył buddhyzm tę zasługę, iż zniweczył różne zabobony ludu. Buddha poznawszy cały łańcuch przyczyn i skutków, przekonawszy się, iż wszystko, co się dzieje, dzieje się z konieczności, uznał nicość ofiary. Nie zaprzeczał on istnieniu bogów, tak jak nie zaprzeczał istnienia życia powtórnego, zdjął jednakże z ludzi przygniatający ciężar zabobonu. Bo nie ofiary, nie obrzędy pobożne wiodą do Nirwany, lecz życie, odpowiadające przykazaniom etyki. Że ten cios, zadany zabobonom nie zdołał ich zupełnie zabić, — że później znów składano dary i ofiary buddhyjskim zakonnikom, jak ongi kapłanom bramińskim, to dowodzi jedynie braku umysłowego rozwoju u ludu indyjskiego, nie dozwalającego mu przyswoić sobie głębszych poglądów religijnych, lecz bynajmniej nie zmniejsza zasługi Buddhy. — Mimo, że rozbierając kolejno życie i nauki Buddhy, zestawiliśmy je krytycznie, wykazując wszelkie światła i cienie, — ostatnie nawet silnie zaznaczając, — mimo to postać Buddhy wyszła nieskazitelnie, otoczona aureolą wielkości i godności. Bo ten mędrzec wschodu był posłannikiem pokoju i jako takiego winni go uważać nietylko jego wyznawcy, ale i cała cywilizacya zachodu.

H. S.

TO I OWO.

Redakcya pisma naszego otrzymała od Henryka Nitschmanna list następujący:

Elbląg, 1 maja 1896.

Szanowny Panie!

Uprzejme i łaskawe powinszowanie Pańskie w 70 rocznicę urodzin moich, uradowało mnie i wzruszyło głęboko. Dziękuję za nie serdecznie i dziękuję za sympatyczny artykuł w Nr. 17. cennego i tak znakomicie redagowanego „Przeglądu Poznańskiego“. Wielką satysfakcyą są dla mnie takie objawy ze strony wielkiego i szlachetnego narodu, z którym łączy mnie tyle węzłów sympatyi i w którego życiu duchowem się zatapiać, zawsze jako najwyższe uważałem szczęście.

Z głębokim szacunkiem

Henryk Nitschmann.

* * *

Wystawa afiszów.

Kiedy w sali warszawskiego Muzeum przemysłowego otworzono wystawę afiszów, jeden z moich znajomych taką o niej wypowiedział opinię:

— Wystawa afiszów?... Cóż to znowu za blaga!... Afisz, jest to wabik, który mówi mi: co jest do zobaczenia; jak szpajscetel mówi: co jest do zjedzenia? Ale urządzać wystawę afiszów i zwabiać ludzi, ażeby im się przypatrywali, jest to samo, co — zaprosić kogo na obiad ze... szpajscetli.

Szpajscetel nie jest potrawą, ani afisz nie jest widowiskiem i dlatego — na wystawę afiszów nie pójdę. Szkoda pieniędzy.

Mały wydatek — rzekłem — złotówkę za wejście.

— Choćby mi nawet dopłacili złotówkę, jeszcze nie pójdę!... — zawołał.

Na wystawie znajdowały się przeważnie afisze angielskie, francuzkie i nasze.

Nasze są to po większej części ogłoszenia drukowane złotemi lub srebrnemi literami na tle rozmaitych barw. Ogłoszenia obrazkowe opiewają najczęściej o jakiejś dystylarni, a figury, przedstawione tam, mają ładne twarze, bardzo kolorową odzież, ale wyglądają jak lalki, niewiadomo, dlaczego tu właśnie ustawione.

Afisze angielskie cechują się dużemi rozmiarami, kolorami ciemnemi i matowemi, i wielką liczbą figur. Wszyscy aktorowie afiszowych scen są ubrani od stóp do głów, odznaczają się zdrowiem, siłąol brzymią, budową i spokojem. Matka spokojnie karmi dziecko, myśliwiec spokojnie zabija tuzin bawołów, królowa Wiktorja spokojnie przypatruje się cyrkowemu towarzystwu Buffalo Bill, a kilka osób spokojnie sprzecza się nad świeżo zamordowanym człowiekiem.

Na afiszach francuzkich ukazuje się świat nadzwyczajny. Widzimi rozebrane kobiety, obsypanych mąką błaznów, dzieci z zabawkami, trupy, morderców, ścięte głowy, palące się miasta, cyrkówki na koniach... A wszystko to chude, nerwowe, rozhulane, rozpędzone tak, że aż wzbija się po nad ziemię. Cechą dominującą jest ruch, szalony ruch! głównem uczucie — lubieżność, a główna barwa — krew, paląca się złotym płomieniem.

Wśród tej orgii pajaców, kokot, sutenerów i morderców, od czasu do czasu widać... parę kobiet, z których jedna płacze, a druga — tuli ją do piersi..

Jest to afisz, wzywający na widowisko dobroczynne, na poratowanie jakich powodzian, pogorzelców, albo ofiar trzęsienia ziemi.

Oto jest Francya: rozpustna, zdenerwowana, a jednak pełna szlachetności i poezyi!...

A Niemcy? Widziałem tylko jeden afisz niemiecki: zaproszenie na wystawę berlińską.

Oto jego treść: Ziemia drży, pęka otwiera się krater, a z niego — zamiast ognistej lawy, wysuwa się — olbrzymia ręka, uzbrojona potężnym młotem.

Ma to być uprzejme powitanie cudzoziemców, przez niemiecki przemysł; wygląda zaś, jak groźba, wymierzona przeciw całemu światu.

Opuszczając wystawę, powiedziałem sobie, żem nie zmarnował czasu. Od tej też pory będę ze czcią oglądał wszelkie zbiory, choćby to była wystawa szpilek, choćby wykałaczek do zębów...

Bolesław Prus.

* * *

Bicykl i kobieta.

Cztery dni trwający kongres kobiecy w Paryżu zakończony został bankietem pożegnalnym, podczas którego prezydentka, P. Pognon, wypowiedziała mowę, streszczającą dodatnie strony tego rodzaju międzynaro-

wych zjazdów i narad, a na zakończenie wyrzekła zdanie dość paradoksalnie brzmiące, że „bicykl przyczyni się do wyemancypowania kobiety“. Dziennik „l'Eclair“ skorzystał z tej okazyi, by zapytać kilka kongresistek, jak należy rozumieć zdanie wypowiedziane przez panią Pognon. Nadesłano mnóstwo odpowiedzi wydrukowanych następnie w dzienniku, a najciekawszą i najcenniejszą z nich, daną przez doktorkę Edwards-Pielliet, umieszczamy w całości: „W toaście pani Pognon widzę podwójną racyę: 1) bicykl przyczynia się do wytworzenia koleżeńskich stosunków pomiędzy mężczyzną a kobietą; 2) bicykl zapewnia reformę ubrania kobiecego. Któraż z kobiet potrzebujących pracować w polu, wychodzić codziennie na ulicę, wchodzić z pakunkami na schody, nie miała sposobności zauważyć, jak wielce niedogodną jest długa spódnica?... W czasie deszczu i błota spódnica brudzi się i niszczy, w czasie kurzu podnosi pyły niebezpieczne dla zdrowia publicznego, unoszona zaś w ręku, trudzi i odbiera możność posługiwania się rękoma, odsłaniając przytem łydki wyżej, niż w kostyumie używanym przez cyklistki. Co zaś do pierwszego punktu, któż zaprzeczy, że wspólne towarzyskie wycieczki cyklistów i cyklistek przyczyniają się do wyrobienia swobodnych, koleżeńskich stosunków pomiędzy mężczyzną a kobietą?...

Jestem stanowczą przeciwniczką oddzielania chłopców osobno i dziewcząt osobno. Jest to nielogiczne, ponieważ przeznaczeniem, koniecznością zmuszeni są później dzielić wspólne koleje życia. Wszak na studya uniwersyteckie uczęszczają razem i żadnego to nie przedstawia niebezpieczeństwa; najmocniej jestem przekonaną, że kobieta zasługująca na poszanowanie, zawsze i wszędzie wzbudzała je, wzbudza i wzbudzać będzie. Od lat czterdziestu miewam wykłady w różnych filotechnicznych stowarzyszeniach i zauważyłam same tylko dodatnie strony wytwarzającego się współzawodnictwa pomiędzy mężczyzną a kobietą, wiadomo bowiem, że na wszelkie wykłady prywatnych stowarzyszeń mężczyźni i kobiety uczęszczają wspólnie i na tych samych prawach. Koledzy i koleżanki zapoznają się, oceniają i wytwarza się pomiędzy nimi zażyłość, oparta na wzajemnym szacunku. Wszystko zatem, co może się przyczynić do wytworzenia koleżeńskich stosunków pomiędzy kobietą a mężczyzną, zasługuje na uznanie, na poparcie, tem więcej, że w kwestyi, o którą nam chodzi w danej chwili, mogę zapewnić na podstawie licznych badań i doświadczeń, iż jazda na bicyklu jest wybornem ćwiczeniem gimnastycznem dla kobiet. Jest ona niewłaściwą tylko dla kobiet w stanie poważnym, lub też dla chorych na specyalne dolegliwości, a stać się może niebezpieczną w razie nadużycia, lecz toż samo niebezpieczeństwo zagraża każdemu i przy każdym zbytecznym wysiłku.

* * *

Jeszcze o „literackiej vendecie“.

W sprawie krwawego zajścia w literackim świecie Warszawy, scharakteryzowanego przez nas w przeszłym numerze, wypowiada p. Ludwik Straszewicz następujące uwagi w petersburskim „Kraju“:

„W Warszawie pytamy jedni drugich, kto z nich dwu winien: Grajnert czy Buchner? I na to pytanie odpowiedzieć nie jestem w stanie. Wierszyk Buchnera, niekoniecznie smaczny, wcale niedowcipny, szykanuje, ale nie spotwarza, nie ubliża. Jeżeli więc w tem niema jakich zakulisowych anteriorów, a o niczem podobnem nie słyszałem, to co najmniej p. Buchner popełnił niewłaściwość, będącą bardzo i bardzo daleką od granic, do których prasa dochodzi. Na napaść jednak nie zasłużył, a że zelżony być nie chciał, więc bronił się energicznie.

Ale skoro rzecz przewracam na drugą stronę, widzę autora którego wyszydzono, dotknięto bez ceremonii jego nazwiska i wyśmiano — to czy mogę wymagać odeń zimnej krwi? My starsi nauczyliśmy się już ruszać ramionami, gdy się sypią obelgi, potwarze, błazeństwa. Nie każdy to zahartowywanie się wytrzyma, nie każdy swój temperament okiełza. Co miał robić niebożczyk Grajnert? Pojedynek? W naszym literackim światku pojedynki albo nie dochodzą do skutku, bo najzuchwalsi oszczercy nie stają, albo kończą się farsą. Proces? — odbywa się zwykle na skórze skrzywdzonego i nie widzieliśmy, aby w tego rodzaju sprawach, skarżący znalazł satysfakcyę. Kto dochodził sprawiedliwości w prasie z piórem w ręku lub na drodze sądu koleżeńskiego, temu do początkowych przykrości dosypano nowych. Czy wobec tego — położywszy rękę na sercu — można rzucić kamieniem na kogoś, co nie mógł znieść szykany i szukał satysfakcyi mizernej, bardzo mizernej, ale jedynie możliwej?

Kto więc z nich d w u winien — doprawdy nie wiem. Natomiast wiem napewno, żeśmy wszyscy winni, iż wśród nas podobnie bolesne, podobnie gorszące zajścia są nieuknioną niemal konsekwencyą panujących stosunków“.

NA WYŁOMIE.

(*Na trawę! — Awans statystów. — Zniszczone marzenia. — Biedna prowincya.*)

Artyści teatru naszego rozpoczęli już koczownicze życie po miasteczkach prowincyonalnych, a dowcip poznański pożyczył sobie z wiejskich sielanek charakterystycznego słowa dla określenia letnich wędrówek. Szczęść Boże „na trawie“! wołamy na pożegnanie synom, córom, no! i podrzutkom Melpomeny, a oni zwykle uśmiechają się kwasno i, jak się zdaje, nie mają wcale ochoty skubać traw i koniczyn. W tym roku jednak gromada cyganów teatralnych, wybierająca się po laury artystyczne do Ryczywołu i Pacanowa, z butą i energicznym rozmachem sznuruje sakwy podróżne. Mina mosterdzieju, gestykulacya Szekspirowskiego Cezara, głos Karola Moora, gdy bandzie zbójców wydaje rozkazy, — jednem słowem jedzie to wszystko na prowincyę jak zwycięzcy i tryumfatorzy. Czyżby maj, miesiąc nadziei, dokonał tak genialnej reperacyi stłuczonego ducha? — czyżby ujrzeli w Swarzędzu lub Mieścisku jakie runo złote i poczuli w sobie Argonautów siłę? Zdaje mi się, że tak wysoko, w sferach poezyi i baśni, przyczyn tężyzny aktorów naszych szukać się nie godzi, — zostańmy na ziemi, w prochu i glinie, w piasku słabostek i śmieszności ludzkich, a łatwiej niezawodnie klucz zagadki znajdziemy.

Oto awans nagły, niespodziany, zdumiewający odegrał tu rolę drożdży, na których niepokaźne ciasto wyrosło w babę imponujących rozmiarów. Dyrekcya teatralna, której wprawdzie kontraktowo tylko od sierpnia do kwietnia przysługuje prawo komendy, która jednak pod tym jedynie warunkiem pożycza biednym cyganom kostyumów do letnich wędrówek, że raz na zawsze służyć jej będą pokornie, postanowiła powierzyć wicerządy prowincyonalnego koczownictwa najmniejszym z małych aktorów, innemi słowy zlecić dowództwo s t a t y s t o m. I oto stał się cud. Na czele trupy staje pan *Czternasty*, król rekwizytorni, wielki artysta w rolach cichych żołnierzy na warcie, kotów miauczących za sceną, lub lokajów wnoszących listy na złocistej tacy. Czyż dziwić się można, że w takich warunkach większość prawdziwych artystów porzuciła służbę, — czyż można urągać oficerom, że szpadę rzucą pod nogi królika, którego fantazya mianowała generałem chłopca od czyszczenia butów? Na cztery wiatry rozleciał się korpus oficerski teatru naszego, zostały tylko ciury obozowe, i ciury pod wodzą statysty walczyć będą za honor sztuki polskiej, krzewić będą oświatę i piękno. Co za cel wspaniały, co za awans cudowny, jaki rezultat zdumiewający! Przedsmak tych godów Parnasowych mieliśmy już w ubiegłą niedzielę, gdy po dymisyi artystów statyści i statystki odegrali „Towarzysza Pancernego“. Niczem wiedeński teatr parodyi, niczem amatorskie przedstawienie „Zbójców“ w towarzystwie krawców i szewców poznańskich, niczem cyrk w porównaniu do tej uczty królewskiej, którą nam zgotowali rozmaici Szatkowscy i różne Kwiatopolskie. Mówi Petroniusz Sienkiewiczowski, że śpiew Nerona zastępował mu pióro flaminga, którym po sutym obiedzie zwykł łechtać gardło dla opróżnienia żołądka, — a o ile z min publiczności teatralnej sądzić było można, to ten „Towarzysz pancerny“... nie powiem reszty, dośpiewajcie sami.... Żołnierze pana Czternastego jednak promienieli szczęściem i radością. Wielu z nich lata całe milcząc podpierało kulisy, niejeden zazdrosnem okiem spoglądał na kolegów swoich, grających Urielów, Narcyzów, Albinów, Otellów, Hamletów, i tęsknem uchem łowił grzmot oklasków, niejeden, naśladując za kulisami „głosy ludu“, tentent koni, lub świstanie wiatru, pytał boleśnie, kiedyż i on z czaszką w ręku jak duński królewicz stanie nad grobem i powie: Być, albo nie być? a wszyscy oczywiście przeklinali w duszy złośliwe intrygi, które ich karyerze stają na przeszkodzie, idyotyzm krytyków i publiczności, nie przeczuwających geniuszu w statystach, ciemnotę tłumów przenoszących takie tam Modrzejewskie i Zimajerki nad Skoraczewskie i Kwiatopolskie, — wszyscy wierzyli w swój geniusz zapoznany. I oto nagle Sezam się otwiera, — zawistni rywale ustąpili, — panie „Czesku“! co nosisz suknie artystkom, panno Ruszkowska! co trefiłaś włosy bohaterkom, teraz wasza kolej przychodzi. Tylko śmiało. Bötel był dorożkarzem, a został wielkim tenorem; Zelazowski tańczył w balecie, a dziś laury zbiera na scenie; któż wiedzieć może, jakie niespodzianki przyszłość kryje w swem łonie? Polecam wam tylko dla kompletu poprosić p. Dobrowolskiego, aby raczył objąć wydział ról bohaterskich. Mógłby grać Shyloka, Aprasza w Chacie za wsią, Ludwika XI, Poloniusza, a ostatecznie Piękną Helenę i Nitouche! Pomyślcie tylko: Piękna Helena do snu się rozbiera!...

Oj! promienieją oblicza cyganów naszych, lecz wątpię bardzo, czy ten grzmot oklasków, którego tak łakną jak Hagar na puszczy wody krynicznej, pieścić będzie na prowincyi ich ucho. Wprawdzie poziom artystyczny naszych partykularzy jest bardzo nizki, wprawdzie zdarzało mi się z ust samych aktorów słyszeć niejednokrotnie cyniczne słowo, że tam, „na trawie“, to obojętne, jak się gra, byle się grało, ale zdaje mi się, że tym razem rachuby zawiodą, bo szeroka publiczność małomiejska nie odróżni może brylantu od szkła czeskiego, lecz nie uwierzy, by cegła była rubinem. Ani jednej chwili nie wątpię, że skoro słowa te z biurka mojego w świat szeroki polecą, natychmiast zadźwięczy tradycyjna piosenka, że skazuję biednych aktorów na śmierć głodową, że kradnę im powodzenie, buntuję publiczność itp. — *well roared lion*! przypominam jednak

tym miłosiernym chórom, że bronić publiczność przed wyzyskiem, piękno przed parodyą, smak publiczny przed wykrzywieniem, to pierwszy obowiązek publicysty; źle to zrozumiana litość, co każdą nędzę artystyczną czy umysłową okrywa płaszczykiem milczenia lub szychem reklamy. Nie winię aktorów, że margarynę swoją sprzedawać będą za drogie pieniądze publiczności Księstwa i Prus Zachodnich, nie winię ich, że zamiast sztuki poniosą w świat jakiś marny surogat artyzmu, bo cóż począć ma z sobą ta biedna drużyna, która po zamknięciu bram teatralnych w Poznaniu jest bez chleba i dachu nad głową, — lecz tych pozywam przed sąd opinii publicznej, którzy beztaktem swoim rozproszyli najlepsze siły teatru naszego, którzy przez jakąś niewytłomaczoną złośliwość upokarzają wybitniejszych aktorów, którzy w skutek bezprzykładnego niedołęstwa stworzyli takie warunki bytu, że letnie wycieczki trupy poznańskiej na prowincyę stają się karykaturą sztuki, a w dodatku natarczywem pukaniem do wrót miłosierdzia.

To winowajcy, — a raczej jeden główny winowajca — ten, którego wszyscy znacie, którego nazwiska wymieniać nie potrzebuję, a którego królowanie w teatrze i polityce jest dowodem moralnej niemocy społeczeństwa naszego. Odzywają się zewsząd coraz ostrzejsze głosy krytyki, odzywają się wróżby detronizacyi, lecz czynu, czynu czekamy. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA

* Siostra Renana. (Ernest Renan. „*Ma soeur Henriette*". 1895. Paryż, str. 93.) Kto chce lepiej poznać ścisłe wewnętrzne życie Renan'a, niech zajrzy do tej książki. W siostrze swojej wielbi Renan nietylko osobę, związaną z nim blizkim węzłem pokrewieństwa, nietylko opiekunkę jego młodości (Henrieta była o kilkanaście lat starszą od niego) niepewnej i wystawionej na liczne przeciwności życia, ale także istotę wyższą, umysł, obejmujący zagadnienia wszechbytu, serce zdolne do poświęceń bezwzględnych, odsuwające cele osobiste na stronę, gdy chodzi o dobro osób ukochanych. Siostrę swoją zalicza Renan do tych osób, które najbardziej stanowczy wpływ wywarły na wyrobienie się jego charakteru i rozwój umysłu. Gdy był dzieckiem, bezsilnem i pozbawionem materjalnej opory po stracie ojca, poświęcenie jej i praca z zaparciem się samej siebie zasłoniła go przed nędzą i pozwoliła normalnie wzrastać; gdy został młodzieńcem, którego dusza targaną była wątpliwościami natury religijnej, które doprowadziły go do znanego wszystkim zerwania z dogmatem i życiu nadały świecki kierunek, ona dopomogła mu w tej ciężkiej chwili przełomu duchowego; wreszcie, gdy oddał się pracy naukowej i działalności społecznej, znalazł w siostrze współpracownicę wytrwałą i kontrolera ścisłego, a nadewszystko duszę podniosłą i czystą, umiejącą pokrzepiać i zachęcać.

Powiada o niej Renan, że „była organem jego życia intelektualnego i że z jej śmiercią cząstka jego istoty zeszła do grobu."

Z biegiem lat dusze ich do tego stopnia przeniknięte były jednakową treścią, tak zlały się w jedno, że podług słów Renan'a — na sprawy moralne jednem patrzyły wzrokiem i jednem sercem je odczuwały. Duszę jednak siostry swej stawia Renan wyżej, niż własną. W rzeczach moralnych — wyznaje Renan — szukał on częstokroć treści do walk pociągających i studjów estetycznych, tymczasem gdy jej ścisłego zespolenia się z dobrem nic podobnego nie szpeciło. Przyznaje się także Renan i do tego, że co zawsze niemile raziło siostrę, to ta jego zjadliwa ironja, jaka go przez długi czas nieopuszczała i którą dodawał do najlepszych rzeczy. „Znajdowałem — powiada — w uśmiechu dyskretnym, wywołanym słabością albo próżnością człowieka, pewnego rodzaju filozofię, przyzwyczajenie to raziło siostrę, stopniowo więc wyrzekłem się go dla niej; teraz dopiero widzę jaką miała słuszność" Dobrzy — dodaje Renan — powinni być poprostu dobremi; wszelki akcent szyderstwa mieści w sobie jakąś cząstkę próżności osobistej i urągliwego usposobienia, które w końcu wydaje się czemś niesmacznem. Tak szczerze i ze skruchą wyznaje winy swe „stary cynik" i „rozmyślny obłudnik." Wszak to coś warte... rzecz jasna, dla ludzi sumiennych.

Całą książkę poświęca Renan prawie wyłącznie wywyższeniu szlachetnych pierwiastków duszy swej siostry i zaznaczeniu tej harmonii wewnętrznej, jaką osiągnęła na drodze wysiłków bezinteresownych, poświęceń i dążenia do prawdy. Wyróżnia Renan wysoką religijność siostry, opartą na przywiązaniu do tego, co jest istotą, na urzeczywistnieniu idei prawdy i dobra. Wspomnieniami, dotyczącemi wycieczki, którą odbył w jej towarzystwie do Ziemi świętej, zakończa Renan życiorys swej siostry. Rozkoszne wrażenia, jakich tam doznawali wspólnie, zachwyty i podniosłe nastroje, uczuwane wobec rzeczy, pozwalających zrozumieć lepiej wielkość tego, co z tej ziemi dla ludzkości wyszło, tracą dla Renan'a cały swój urok na myśl o tem, że z niemi łączy się okrutny dlań, najboleśniejszy fakt śmierci jego siostry. Henrieta umarła bowiem w czasie trwania ekspedycyi Renan'a do Palestyny. Na końcowych żałobnych kartach, poświęconych ostatnim chwilom uwielbianej siostry, skupił Renan cały swój żal z powodu jej straty, skoncentrował całą czułość, jaką miał dla niej, wyraził swój ból bezpośrednim okrzykiem dotkniętego serca i stroskaną myślą filozofa, rozważającego zagadki istnienia z ich strony niepojętej dla nas. Rozum i serce złączyły się tu raz jeszcze, by złożyć hołd cnotom zmarłej, a przez nie i tym prawdom wieczystym, których była za życia wcieleniem. Szczerość uczucia, siła ukochania, tęsknota rzewna i stała za bytem doskonalszym i pełnym wyglądają z poza tych słów, jako istotne składniki duszy ich autora.

* K. Gliński: „Chata Nikodema" Warszawa 1895.

W pięknej szacie poezyi, p. Kazimierz Gliński dał nam myśl poczciwą i ona to czyni głównie, iż z „Chaty Nikodema" wieje jakiś serdeczny smętek i otucha, krzepiąca nerwy stargane dzisiejszej generacyi... Poemat napisany jest w formie dramatycznej, zwykle niepociągającej czytelnika, lecz chociaż idealizm, może i zbytni optymizm, w sceptyku zrodzi cień niedowierzania, przecież całość bez śladu dodatniego przez duszę niczyją nie przejdzie. Hrabia Izydor wychował u siebie Salusię, dziecię chłopki, która kiedyś, jako niańka, wyratowawszy z ognia niemowlę „hrabskie", sama zginęła w płonącym dworze. Hr. Izydor wychował więc i wykształcił Salusię — przez wdzięczność. Lecz Salusia nie wie nic o swem pochodzeniu i młody hrabia August również nie wie, że... kocha dziecię z gminu. Ojciec, widząc afekty syna, objaśnia go, sądząc, że tem Augusta do dziewczyny zrazi i serce jego do hrabianki Izy nakłoni. Ale August jest innym, niż zwykle, hrabiczem.

— Czy ona pozwoli, żebym na wielkiej targowicy życia, cześć, dumę sprzedał i tę resztkę roli, która została jeszcze od rozbicia? My się wahamy, my się wciąż wahamy, by stworzyć szczęście...

Więc hrabia Izydor błogosławi młodych, nazywając ich mężem i żoną. August zaś, przyciskając do serca ukochaną, mówi:

— W takim uścisku tylko przyszłość nasza...

O czem wszakże arystokracya jeszcze wiedzieć nie chce.

Przepięknym jest ustęp, gdy Salusia, dowiedziawszy się o swem pochodzeniu, daje upust szlachetnemu uczuciu:

— Więc ten lud kmiecy, to moja rodzina i w mojej piersi płynie tego ludu krew, który czeka objawienia, cudu, blasków słonecznych, by jak na ugorze, ziarno rzucone błysło w kłos pszeniczny.

A dalej:

— Teraz pójdę śmielej gdzie serca chore, gdzie się myśl rozprasza, jak niezwiązane pilną ręką ziele. I powiem chatom: jestem córka wasza!

Lecz chcąc przytoczyć piękności języka i dać czytelnikowi podniosłość myśli poetyckich, trzebaby „Chatę Nikodema" chyba całą przytoczyć tutaj...

Przy sposobności zaznaczyć należy żal, dlaczego wydawcy, nadsyłając do redakcyi swe książki, nie oznaczają na nich ceny. Wówczas czytelnik mógłby mieć zupełną informacyę o danej książce, którą kupićby pragnął. *Józ. Waś—ski.*

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Doroczny koncert majowy Sokołów odbył się w ubiegłą sobotę na sali Lamberta. Po wstępnem przemówieniu Dr. Wł. Rabskiego, wykonało kółko muzyczne kilka orkiestrowych i chórowych utworów przyjętych przez publiczność głośnemi objawami sympatyi. Popisy gimnastyczne Sokołów, jak zwykle, tak i tym razem obdarzono burzą oklasków. Równe uznanie zjednała sobie gra na harmonice ustnej druha Janowicza, deklamacya p. Grabowieckiego i tercet na skrzypcach dwóch 13 letnich chłopców i 8-letniej dziewczynki, uczennicy druha Zaremby, dyrektora kółka muzycznego. Publiczność zebrała się bardzo licznie, lubo w przededniu koncertu dyrektor teatru, p. Dobrowolski, zmusił artystę dram. p. Skirmunta do ogłoszenia w dziennikach, że zapowiedziana na afiszach deklamacya jego się nie odbędzie. Przyczyna tego nieobywatelskiego postępku jest następująca: Z dniem 1 kwietnia skończył się kontrakt artystów naszych z dyrekcyą i całe towarzystwa dram. dawało przedstawienia na własny rachunek. Tow. Sokół mniemało zatem, że artyści są niezależni od starej dyrekcyi i z tego powodu udało się wprost do p. Skirmunta z prośbą, aby w koncercie wziął udział. Pan Skirmunt przyjął zaproszenie bez wszelkich zastrzeżeń. W wilię koncertu jednak zawezwał go p. Dobrowolski i oświadczył, że naczelnym dyrektorem trupy poznańskiej pozostaje on jeden latem i zimą, bez względu na to, czy kontrakt się skończył czy nie, czy artyści na własny rachunek grają, czy na rachunek dyrekcyi, — że Tow. Sokół ubliżyło mu zatem, nie szukając drogi do p. Skirmunta przez biuro dyrekcyi i że zakazuje surowo artyście wziąć udział w koncercie. Wprawdzie nie potrzebuje p. Skirmunt słuchać jego rozkazów, bo kontrakt legalny się skończył, jeżeli jednak odważy się zadeklamować i jeżeli nie zdecyduje się publicznie ogłosić, że nie wystąpi w koncercie Sokołów, może się raz na zawsze z sceną poznańską pożegnać. Wobec takiej groźby elastyczny p. Skirmunt usłuchał rozkazu. Nie przyniosło to wprawdzie żadnego uszczerbku koncertowi, bo znalazł się inny artysta, który wbrew wszelkim pogróżkom, opierając się na legalnej podstawie, zastąpił p. Skirmunta, ale fakt ten rzuca bądź co bądź charakterystyczne światło na osobę pana Dobrowolskiego, jego chorobliwą chciwość władzy i górowanie małostkowych ambicyi nad służbą obywatelską.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Faun. Ależ, panie szanowny, nadesłany wierszyk nie jest „poetyczny manifestem zmysłowości", lecz najprostszą pornografią.

Władysław S. Etymologia wyrazu „tłomacz" jest dotychczas nieco wątpliwą. Prawdopodobnie jest to wyraz tatarski.

Janina S. Listu nie otrzymaliśmy. Być może, że oddano go innej redakcyi, co od czasu do czasu zdarza się nawet listonoszom niemieckim.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28